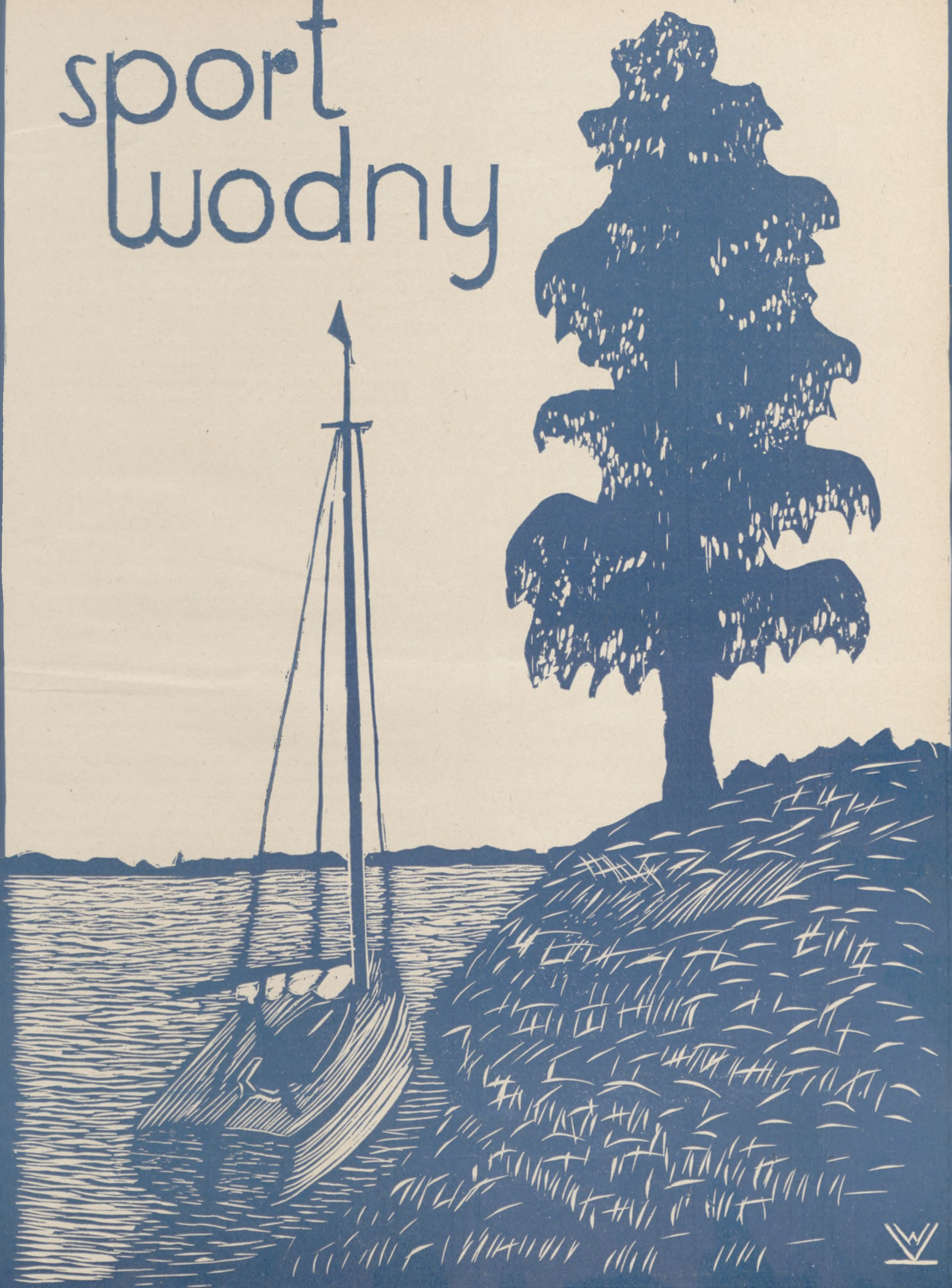
sport wodny



Rok 10 2-gi ZESZYT PAŹDZIERNIKOWY Nr. 19

Zamknięcie sezonu w Yacht-Klubie Polski

W niedzielę dnia 21-go października Oddział Śródlądowy YKP zakończył tegoroczny sezon sportowy i opuścił banderę na przystani klubowej.

Na zakończenie sezonu odbyły się w tym dniu regaty klubowe i regaty propagandowe dla szypiaków 10 m² typu PZŻ i „Strzelec". Do tych regat stanęło 8 jachtów, a mianowicie: jeden YKP, sześć „Strzelca" i jeden „Pocztowego P. W.".

Wiatr był świeży, zachodni, woda na Wiśle wysoka i prąd silny.

Rezultaty tego wyścigu były następujące:

1-y: „Junior" (YKP), sternik p. Przygodzki, drugi: „Strzelec II" (Strzelec), sternik p. Zych, trzeci: „Płastuga" (Pocztowe PW.), sternik p. Plos, zdobywcy trzech nagród klasowych. Reszta jachtów przyszła do celu w następującej kolejności: „Hanka", „Strzelec I", „Darling", „Bogińka".

Należy przyklasnąć szczęśliwej, jak zwykle, inicjatywie YKP, który dał sposobność zmierzyć się w wyścigu młodym żeglarzom klubów niezrzeszonych w PZŻ i zapoznać się z techniką regatową, przyczem starsi żeglarze YKP, szczególnie tak zasłużony dla polskiego żeglarstwa p. Kom. Aleksandrowicz, nie szczędzili im cennych wskazówek i rad.

Po rozdaniu nagród, Zarząd YKP ugościł młodych zawodników herbatką i zakąską.

O godzinie 1-ej przemówił do zgromadzonych pod masztem klubowym Członków Vice-Komandor p. W. Szadurski, poczem Vicekomandor p. K. Lange, przewodniczący Komisji Sportowo-Technicznej dokonał spuszczenia bandery.

Komandor Szadurski zwrócił się w swojem przemówieniu przedewszystkiem do młodzieży żeglarskiej, wzywając do wytężonej pracy sportowej, gdyż młodzież ta będzie musiała kiedyś kontynuować zapoczątkowaną przez starsze pokolenie pracę i objąć po nich kierownictwo. Przemówienie swoje zakończył p. kom. Szadurski trzykrotnem: „Niech żyje" na cześć dostojnego Komandora Honorowego Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z naszej strony życzymy YKP, żeby po zimowym wypoczynku podjął na nowo swoją owocną pracę nad rozwojem sportu żeglarskiego, dodając nowe piękne karty do swojej dotychczas tak chlubnej historji.

Należy się spodziewać, że i inne Kluby pójdą za przykładem YKP i w przyszłorocznym sezonie nie zapomną o młodych żeglarzach, na których opiera się przecież przyszłość naszego żeglarstwa sportowego.

Zamknięcie sezonu wioślarskiego w Łomży

W niedzielę, dn. 7 października r. b. odbyła się na przystani Towarzystwa Wioślarskiego w Łomży uroczystość zamknięcia sezonu wioślarskiego.

W ramach tej uroczystości odbyły się dwa biegi. bieg czwórek półwyścigowych dębowych uczniów Szkoły Handlowej na dystansie 1700 mtr. oraz pierwszy raz w Łomży bieg długodystansowy czwórek półwyścigowych cedrowych na trasie wieś Szur-Łomża (tor około 5 km. z biegiem rzeki).

W biegu uczniów Szkoły Handlowej zwyciężyła osada: Nazarewicz J., Różycki Zb., Nowicki W., Tyszka Tad., Dąbrowski St. (sternik) w czasie 6 m. 55 sek.

W biegu długodystansowym zwycięstwo odniosła osada: Kozłowski Sz., Dzierżanowski Tad., Dąbrowski St., Kozłowski K., Gołaszewski Bol. (stern.) w czasie 17 m. 29,1 sek. przed osadą pod sterem Nowińskiego Fr. w czasie 17 m. 58,9 sek.

Ze startu łodzie wychodzą razem. Przez 1500 mtr. obie osady jadą równo, nieznacznie wyprzedzając się wzajemnie. Po 2.000 mtr. wysuwa się na czoło os. Gołaszewskiego, wiosłując dłuższemi i wolniejszemi pociągnięciami. Pomimo przeciwnego wiatru, który utrudniał bieg, osady wykazały dobrą formę.

Po zawodach odbyło się opuszczenie flagi wioślarskiej na znak zakończenia sezonu. Wieczorem zaś, w salonach Klubu Towarzyskiego nastąpiło rozdanie nagród, poczem rozpoczęła się zabawa taneczna, która przeciągnęła się do późnej nocy.

Książki nadesłane

Mały podręcznik obozowania, Inż. Zbigniewa Trylskiego. Warszawa 1934 r. Główna Księgarnia Wojskowa. Cena zł. 1,50.

Sztuka obozowania nie jest sama sportem, lecz dodatkiem do wszystkich sportów przestrzennych i stąd zainteresowanie nią jest tak powszechne. Czy to bowiem będą niedzielni wycieczkowicze, czy kajakowcy płynący z wody na wodę, czy rowerzyści, motocykliści, turyści górscy czy niziinni, narciarze, harcerze czy inne organizacje — wszyscy oni w swem wędrownem życiu muszą korzystać z obozu.

Jednak życie obozowe ma swój urok dopiero wówczas, gdy zaspakaja nasze potrzeby i pozwala cieszyć się przyrodą, nie absorbując nas niewygodami i przykrościami życia prymitywnego. Stąd obozowanie jest sztuką i nie każdy laik czuje się w obozie dobrze. Jak sobie urządzić obóz, by był wygodny, a najmniej jednocześnie pochłaniał nasz czas, podaje książeczka długoletniego praktyka, mieszkańca licznych obozów wojskowych, wojennych i harcerskich — inż. Zbigniewa Trylskiego p. t. **„Mały podręcznik obozowania"**, która świeżo ukazała się w drugiem, poprawionem i uzupełnionem wydaniu nakładem Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie.

Jest to krótka i zwięźle ujęta praca, traktująca o przygotowaniach do wyruszenia do obozu i o życiu w nim. Dzieli się na następujące rozdziały:

1) wyprawa osobista,
2) pakowanie,
3) namiot,
4) rozbijanie namiotu,
5) pożywienie,
6) co się robi w obozie,
7) zwijanie obozu.

Autor kładzie w swej pracy duży nacisk na pożywienie, dając z tej dziedziny szereg praktycznych rad i wskazówek. Pracę zdobi wiele pełnych humoru ilustracyj.



ROK 10 WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1934 R. Nr. 19

Sport Wodny

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ JACHTINGU MOTOROWEGO

Przed okresem walnych zgromadzeń

Wprawdzie sezon wioślarski został dopiero co zakończony i od okresu walnych zgromadzeń w klubach dzieli nas jeszcze sporo czasu, tem niemniej sytuacja jest tak wyjątkową, iż praca musi być podjętą znacznie wcześniej, niż innych lat. Wyjątkowość sytuacji wywołuje fakt, iż jest to ostatni rok przed igrzyskami olimpijskiemi i o ile w tym roku nie powiększymy naszych kadr zawodniczych i nie podniesiemy ich klasy, to uzyskanie tego w r. 1936 będzie mało prawdopodobne, a raczej wręcz niemożliwe. Nie podzielam optymizmu niektórych kierowników naszego wioślarstwa, którzy uważają, iż wioślarstwo polskie stoi już na wyżynie i może pokusić się o zwycięstwo w walce z innemi narodami świata. Wystarczy porównanie wyników uzyskanych w latach 1932/33 z uzyskanemi w r. b., aby dojść do przekonania, że poziom wioślarstwa w Polsce raczej obniżył się, względnie poziom w innych krajach podniósł się bardzo znacznie. W każdym razie efekt jest ten sam: dzisiaj już nie stanowimy dla zagranicy tego przeciwnika, jakim byliśmy jeszcze w r. ub.

O powodach tego rodzaju objawu mówiło się i pisało bardzo wiele. Większość tych powodów leży napewno poza samym ruchem wioślarskim, należy ich szukać w ogólnym nastawieniu naszej młodzieży do sportu. W chwili obecnej nie pora zresztą analizować rzeczy dość jasnej i zrozumiałej, lecz ustaliwszy ogólny stan, czas najwyższy rozpocząć prace przygotowawcze tak, aby w r. 1935 odegrać poważniejszą rolę na mistrzostwach Europy i uzyskać lepszą pozycję w przededniu mistrzostw olimpijskich.

Z tego też tytułu nie może być mowy o długiej przerwie w zajęciach naszych zawodników. W szybkiem tempie muszą oni być wciągnięci spowrotem do pracy, nie długo już muszą się rozpocząć ćwiczenia na salach gimnastycznych i basenach, gdyż inaczej znów zapóźno dojdziemy do formy. Zagranica mobilizuje wszystkie swoje najlepsze siły. Wciąga się do treningu zarówno stare gwiazdy, wycofane już z obiegu, jak i młodzież nawet ze szkół średnich. Niemcy, naprz. reaktywują ósemkę manheimskiej „Amicitii", która reprezentowała Niemcy w Los Angeles.

Dlatego właśnie także praca w towarzystwach naszych musi iść innym nieco torem. Nie można powiedzieć, aby w naszych klubach działo się zbyt dobrze. Słowo sport zaczyna być coraz częściej spychane z działalności klubowej na dalszy plan, a w ruchu regatowym bierze udział coraz mniejsza ilość towarzystw.

Gdybyśmy z tabeli punktacyjnej usunęli te kluby, które zdobyły swoje punkty u siebie w domu, lub w bardzo bliskiej okolicy, to liczba naprawdę czynnych klubów polskich zmalałaby do minimum.

Nieraz słyszy się zdanie w rodzaju: „Dlaczego nie urządziliście kortu tenisowego na przystani, dlaczego nie macie kręgielni i bilardu i t. d.". Zachodzi więc zupełne zapomnienie głównych celów klubu wioślarskiego, a wychodzi na jaw coraz wyraźniejsza tendencja zrobienia z klubu wioślarskiego klubu rozrywkowego, w którym obok bridża, ping-pongu, dancingu, tenisu i restauracji, byłoby także małe miejsce zarezerwowane dla tych, którzy chcą wiosłować.

Zagranicą tego rodzaju kluby rozrywkowe, oczywiście istnieją. Sam miałem możność zwiedzenia tego rodzaju klubu w Pradze czeskiej. Zachodzi jednak mała różnica między tego rodzaju typem klubu, a naszemi klubami. Otóż różnica ta polega na charakterze klubu i jego zadaniach. Członek takiego klubu rozrywkowego płaci miesięcznej wkładki tyle, ile u nas płaci się za cały rok. Za to jednak, oczywiście otrzymuje bardzo dużo. Charakter klubu jest tego rodzaju, iż nie uwidacznia on wcale pretensji do placówki społecznej. Jest poprostu miejscem wesołej rozrywki zamożniejszych ludzi i na tem koniec. Zadaniem klubu jest stwarzanie członkom jak największej ilości rozrywek i przyjemności, a działalność sportowa jest całkowicie usunięta na dalszy plan. Taki klub, nie będąc klubem sportowym w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie ma jednakże pretensji do opieki, pomocy i uznania ze strony społeczeństwa.

W naszych klubach niejednokrotnie dają się zauważyć właśnie tendencje do zrobienia z naszych przystani tego rodzaju placówek przyjemnościowych. Ci jednak, którzy lansują tego rodzaju projekty i którzy tak ochoczo eliminują zadania sportowe z programów klubów, nie mają jednak zamiarów rezygnować z pomocy i opieki społeczeństwa, apelując nieraz do ofiarności społecznej w czasie organizowania pewnych imprez, nie koniecznie o charakterze sportowym (wianki).

Rzecz prosta, że w naszych klubach nie brak ludzi dobrej woli, którzy usiłują popychać ciężką taczkę pracy organizacyjnej w ten sposób, aby działalność sportowa znalazła swoje miejsce nietylko w programie zadań klubów, ale także, co może nawet ważniejsze, także w budżetach corocznych. Wytwarza się jednak dość ciekawa opozycja, niechętna kierunkowi sportowemu, która doprowadza do tego, że wszelkie wysiłki ożywienia prac klubowych idą na marne, albo też zarządy klubów muszą spędzać niepotrzebnie wiele czasu nad załatwianiem niedorzecznych pretensyj wiecznych malkontentów klubowych. Objawy skreślone powyżej nie są właściwością jednego klubu, ale są spotykane dość często. W rezultacie szeregi naszych organizatorów topnieją i obserwujemy dość wymowny fakt, iż z szeregów tych ubywają coraz to nowe jednostki, a luka powstała w ten sposób nie zostaje wypełniana przez inne siły.

Objaw ten, niemal w przededniu igrzysk olimpijskich, jest wysoce charakterystyczny i ogół społeczeństwa wioślarskiego powinien się nim zainteresować z tego względu, iż o ile nie znajdzie się na czas lekarstwo, obecny stan dość niewesoły, może się jeszcze pogorszyć i w rezultacie nie będziemy posiadali reprezentacji na miarę olimpijską. Znaczenie wychowawcze sportu zawodniczego zostało już uznane przez cały świat. W ostatnich latach nawet

Rosja sowiecka wprowadziła w program swej „fizkultury" pojęcie rekordu i mieliśmy dowody w Czechosłowacji, iż praca ta już przyniosła pewne owoce. Dalej jest rzeczą oczywistą, że tylko te kluby, które uprawiają sport w znaczeniu planowej i systematycznej pracy treningowej, mogą liczyć na poparcie społeczeństwa i władz oraz na uznanie w razie uzyskania odpowiednich wyników. Ani rząd, ani społeczeństwo nie ma interesów w popieraniu klubów, których głównem i naczelnem zadaniem jest wyszukiwanie przyjemności dla grupki osób, niechcących interesować się prawdziwym sportem.

Sport, to walka. W jednym przypadku będzie to walka z przyrodą, w drugim walka z przeciwnikiem. Rzecz jasna, że udział w tej walce, to atrybut młodości, ale młodzież, wychowana w tych właśnie hasłach walki, hartuje się i wychowuje na pełnowartościowych nietylko sportowców, ale także obywateli państwa. Niestety, o tych pewnikach nasi „opozycjonści" zapominają. Zdobywają się tylko na niechętną krytykę pracy sportowej, podkreślają, że młodzież, która „nic" nie płaci, używa najlepszych łodzi i niszczy je przez to właśnie użycie.

Kto wie, czy właśnie to nastawienie starszej części członków naszych klubów nie jest bezpośrednim powodem, iż kadry naszych zawodników maleją tak, iż niejednokrotnie na regatach trafiają się mało pochlebne dla ruchu wioślarskiego walkowery. Ta atmosfera niechęci do młodzieży i reprezentowanego przez nią elementu zawodniczego, powoduje, iż praca w klubie wioślarskim idzie coraz oporniej, że siły kierownicze tracą energję w mało ważnych, drobiazgowych sporach, że traci się czas na błahe kłótnie zamiast wykorzystać go na celową, solidną pracę sportową.

To też w przededniu walnych zgromadzeń dobrze by było, aby ci, którzy będą brać w nich udział zdali sobie sprawę z tych olbrzymich trudności, jakie piętrzą się przed każdym zarządem w klubie i aby, przygotowując opozycję, zdawali sobie sprawę z tego, iż nie wolno formować specjalnej akcji dla załatwienia osobistych sporów, że nie wolno w chwili obecnej przemieniać klubu sportowego na klub przyjemnościowo-rozrywkowy, że nie wolno innym rzucać kłód pod nogi, jeśli samemu nie ma się zamiaru przejmować jarzmo „władzy" i pracy na swoje barki. Być może, że tu i ówdzie pracowano źle, że nie miano wyników. Ale w momencie krytykowania tych objawów trzeba zapytać się samego siebie, czy w tych warunkach można było pracować lepiej i można było uzyskać lepsze wyniki. Drugiem pytaniem będzie: co chcemy uzyskć przez stworzenie opozycji i do czego zmierzany. Odnoszę wrażenie, że jeżeli trafiają się chętni do pracy, to niema chyba w całej Polsce takiego człowieka, któryby z lekkiem sercem odrzucił gotowość do pracy i wyzbył się pomocnika, ale z warcholstwem i prywatą walczyć musimy energicznie, aby nie dopuścić do dalszego upadku naszego wioślarstwa.

Wł. Długoszewski

O naszych sternikach i trenerach

W przedwojennej Polsce krzewicielami i nauczycielami wioślarstwa, byli przeważnie ludzie z zachodu, to jest najczęściej polska młodzież akademicka studjująca zagranicą. Wielu z tej młodzieży po powrocie do kraju z pożytkiem pracowało na niwie wioślarskiej.

Wioślarze polscy z trzech zaborów, pomimo olbrzymich trudności paszportowych, umieli się jednoczyć i na wspólnych regatach startowali razem zawodnicy z Warszawy, Krakowa i Poznania. Jednak kontaktu sportowego z wioślarstwem zagranicznem nie było wówczas i być nie mogło, a sport wioślarski u nas zaczął nabierać cech lokalnych, niezawsze zgodnych z ideałami prawdziwego sportu.

Regulaminy przedwojennych klubów dzieliły swych członków na wioślarzy klasowych trzeciej, drugiej i pierwszej klasy i na sterników. Najbardziej zaszczytny w klubie tytuł sternika otrzymywało się za zasługi sportowe i za wszechstronną znajomość sportu wioślarskiego.

Sternicy tworzyli osady wioślarskie, a konkurencja wśród nich miał swój wyraz na regatach. Sternicy spełniali wówczas funkcje trenerów i trzeba przyznać, iż wielu wśród nich było na wysokości zadania. Taki przedwojenny sternik-trener, pomimo swej czasami bardzo ciężkiej wagi, zwykle sam stawał do regat na sterze swej osady.

Z czasem do grupy sterników w klubach poczęli się przedostawać członkowie za zasługi położone dla klubu, jednak natury nie sportowej, lecz ogglnej, bądź też przez zwykłą protekcję. W klubach poczęli się zjawiać „sternicy" nie mający nic wspólnego z właściwym sportem wioślarskim. Zaczęło to już wytwarzać zamęt w pojęciu miana sternika.

Przedwojenny sternik regatowy przeważnie miał w klubie tylko jedną swoją osadę, o nią się tylko troszczył i chciał, by jego osada była najlepszą w klubie. Taka konkurencja wewnątrz klubu utrudniała skoordynowanie wysiłków całego klubu w tworzeniu osad reprezentacyjnych.

Już zaraz po wojnie, wobec znacznego podniesienia się poziomu sportowego i w przewidywaniu startów zagranicznych, praca dotychczasowych sterników stawała się niedostateczną. Zaczęto wówczas odróżniać funkje trenera od funkcji sternika i zrozumiano, że niepotrzebny, podczas biegu, balast ciężkiej wagi sternika ma swój wyraz w czasie zjeżdżania toru regatowego. Sternikom zaczęto stawiać wymagania nowoczesne, to jest żądano od nich kwalifikacyj sportowo-zawodniczych, małej, w granicach 50 kgr. wagi i umiejętności sterowania łodzią na treningach i regatach. Często zagranicą, a w ostatnich czasach i u nas na sterze osad regatowych widzi się chłopców kilkunastoletnich.

Nazwa klubowego sternika zagmatwała się jeszcze bardziej, gdyż obok faktycznego sternika jeszcze i teraz sternikiem mianuje sę zasłużonego wioślarza regatowego, który ze względu na swoją wagę nigdy sternikiem nie był i nie będzie.

W starszych klubach ci mianowani dawniej sternicy mają swą racje bytu, gdyż w większości wypadków rekrutują się oni z zasłużonych sportowców i wśród nich spotyka się ludzi związanych z klubem i ze sportem wioślarskim od lat kilkudziesięciu. W ostatnich jednak czasach kontakt starych sterników z obecną młodzieżą staje się coraz luźniejszy.

Niezrozumiałem jest jednak dlaczego niektóre nowe kluby, zaraz w początkach działalności mianują sterników wśród swych członków założycieli. Tacy „sternicy" nie posiadają często nawet elementarnych znajomości sportu wioślarskiego.

Należałoby, utrzymując podział na wioślarzy klasowych, gdyż z nim się łączą uprawnienia w korzystaniu taboru, sternikami nazywać tylko tych, którzy faktycznie sterują — łodzią wyścigową. Zasłużeni dla klubu członkowie powinni otrzymać inną nazwę.

Gdy praca dawnych sterników stawała się niewystarczającą, gdy kierownictwo całorocznych prawie przygotowań i ostatecznego wyszlifowania osad przed regatami, musiało być powierzone jednostce, posiadającej odpowiednie umiejętności i wiele wolnego czasu, zaczęło się poszukiwanie ludzi fachowych, t. j. trenerów.

Wielu z dawnych sterników podejmowało się trudnej roli trenera-amatora. W tej roli i teraz jeszcze wielu rutynowanych wioślarzy, prowadzi treningi w swoich klubach. Wśród tej kategorji trenerów wyróżnili się u nas nieco dawniej: dr. Siemiątkowski (B. T. W.), Hofman (Wisła), Wróbel (WTW), a ostatnio Wańkowicz (AZS), Bujwid (AZS Kraków), Brzeziński (BTW) i inni.

Jednak znaczna większość trenerów-amatorów, to dyletanci. Taki trener często, podczas najbardziej gorącego sezonu, obraża się i odchodzi od pracy, kierownictwo obejmuje ktoś inny i z tego powodu zatraca się ciągłość uplanowanej pracy przygotowawczej.

Najgorzej jest, gdy w klubie pracuje kilku naraz trenerów-amatorów, a każdy z nich ma inny sposób nauczania i trenowania osad. Wówczas wytwarza się chaos i nie może być już mowy o osiągnięciu dobrych wyników.

Być może, iż ideałem trenera jest amator, ale tylko wtedy, gdy jak to ma często miejsce w Anglj, oprócz pożądanych dużych umiejętności jest on członkiem zamożnym i posiada bardzo wiele wolnego czasu. W naszych jednak warunkach najlepszym jest trener zawodowy, który zajmując się ściśle osadami reprezentacyjnemi klubu, prowadzi całość jego pracy sportowej. Wobec posiadania już własnych zawodowych trenerów, koszt ich angażowania nie jest zbyt wysoki i nad tą sprawą powinny się zastanowić wszystkie kluby mające sportowe ambicje.

Dla klubów małych lub nowych Związek lub Komitety Międzynarodowe powinny angażować instruktorów objazdowych, których zadaniem byłoby zapoczątkowanie pracy sportowej i przygotowanie osad najniższej kategorji.

Stałemu trenerowi w klubie stawiać należy duże wymagania. Powinien on być faktycznym wychowawcą powierzonej mu młodzieży, musi umieć ją przekonać o konieczności prowadzenia sportowego trybu życia nietylko w czasie regatowym, ale i w ciągu całego roku. Umiejętne uprawianie sportu wioślarskiego daje tyle rozkoszy i zadowolenia, iż warto dla nich poświęcić nikotynę, alkohol i t. p.

Trener musi umieć rozwijać stopniowo mięśnie i hartować, w walce sportowej, ducha powierzonych mu licznych szeregów wioślarskiej młodzieży. Wtedy dopiero sport ma znaczenie wychowawcze i wtedy działalność klubu jest pożyteczną dla społeczeństwa, gdyż mu daje zdrowych, silnych i zahartowanych w walce obywateli.

Wioślarstwo najbardziej wszechstronnie rozwija mięśnie człowieka, a jako sport zespołowy uczy współpracy, karności i podporządkowania interesów jednostki interesom grupy, czyli osady wioślarskiej. Trzeba wpajać w młodzież kult walki w imieniu swej osady i swego klubu i kult reprezentacyjnej państwowej koszulki, która pozwala walczyć w imieniu swego narodu.

Współpraca trenera z kapitanem klubowym musi być jaknajdokładniej uzgodniona. Kapitan broni spraw sportowych na zarządzie, wyjednywa potrzebne fundusze i reprezentuje sport swego klubu nazewnątrz, ale w sprawach treningowych i regatowych decydujący głos mieć może tylko trener. Kapitan w imię dobrze zrozumiałych własnych interesów, powinien swą powagą ułatwić tylko pracę trenerowi. Trener prowadzi planową i na dłuższy czas obliczoną zaprawę sportową i on powinien mieć prawo awansowania wioślarza do kategorji wyższej. Na podstawie opinji trenera, władze sportowe klubu, powinny karać za przewinienia i usunąć z klubu młodzież nie karną i nie nadającą się do uczciwej pracy sportowej.

Wszystkie kluby polskie, które w sporcie wioślarskim odegrały większą rolę, korzystały z pomocy trenerów zagranicznych i wszystkie prawie najlepsze nasze osady reprezentacyjne były przez nich trenowane. Wyjątek stanowią skiferzy. Dawniej Długoszewski, a obecnie Verey i Kepel nie mieli stałej opieki fachowego trenera zagranicz-



Zarząd Kaliskiego Towarzystwa Wioślarskiego ze zdobytemi w r. b. nagrodami

nego, ale gdyby ją mieli napewno wyniki przez nich osiągnięte byłyby jeszcze lepsze.

Dwóch anglików: Mac Alpin i Wingate, oraz cały szereg trenerów niemieckich pracował dotychczas w Polsce. Wyniki ich były różne, przeważnie jednak dobre, a trzeba pamiętać, iż każdy trener zagraniczny, pracując w Polsce, staje się świadomie lub nieświadomie nauczycielem przyszłych trenerów polskich.

Kryzysowe obecne czasy uniemożliwiają większej ilości pierwszorzędnych nawet klubów, sprowadzenie kosztownych trenerów zagranicznych i z tego tylko powodu, niektóre jeszcze tak niedawno silne bardzo kluby, teraz znajdują się zaledwie około środka tabeli związkowej (AZS i KWO4.)

Z pomocy trenerów zagraniczych przy przygotowaniu oficjalnych reprezentacyj, jeszcze długo korzystać będziemy musieli. Zresztą trzeba wiedzieć, iż tak bardzo zaawansowani w sporcie wioślarskim Niemcy, pomimo posiadania kilkuset wykwalifikowanych własnych trenerów, bardzo chętnie angażują bardzo dobrych, lecz jednocześnei bardzo kosztownych trenerów angielskich.

Trenerem reprezentacji niemieckiej w Los Angeles był anglik Suliwan, trenerem Schöffera, tegorocznego zwycięzcy Verey'a jest anglik Cordery.

Stale wzrastająca w Polsce ilość klubów wioślarskich, wymaga coraz większej ilości trenerów, a potrzebnej nam ilości z zagranicy czerpać nie możemy i nie chcemy. Najczęściej kasy klubowe, conajwyżej mogą się zdobyć na pensje niewielkie, które zadowolnić mogą tylko, początkujących trenerów krajowych.

Już od kilku lat w klubach nowych i nie posiadających wśród swoich członków wykwalifikowanych wioślarzy, angażowano płatnych instruktorów, rekrutujących się z dawnych wioślarzy regatowych. W niektórych klubach praca tych nstruktorów, dawała wyniki dosyć dobre, coprawda w zakresie wstępnym.

Dopiero sezon ubiegły dał pole do popisu kilku naraz polskim trenerom, wywodzącym się spośród dawnych wioślarzy K. W. 04, którzy odrazu wykazali się nieprzeciętnej wartości zdolnością i umiejętnością.

Na czterdzieści kilka klubów wioślarskich punktowanych w tabeli związkowej pierwsze miejsce osiągnęło K. T. W. (trener N. Budziński), czwarte miejsce—W. K. S. Grodno (trener M. Tuliszka) i piąte miejsce — „Wisła" (trener H. Budzński). Prócz wymienionych jeszcze jest i kilku innych o równości dobrych kwalifikacjach.

Sezon ubiegły zakończyliśmy przeto nową zdobyczą—ukazaniem się wartościowych trenerów krajowych.

E. Lenartowicz

Wioślarski kurs trenerski w C. I. W. F.

O konieczności powołania do życia kursu trenerskiego mówiono i pisano u nas bardzo wiele.

P. Z. T. W., który posiada jedynie teoretyków wioślarskich, własnemi siłami odpowiedniego kursu stworzyć jednak nie mógł, gdyż brak mu było nietylko funduszów, ale i wykładowców z dziedziny teorji wychowania fizycznego, oraz instruktorów ogólno sportowych.

Jednocześnie rozumiano u nas, że krótki dwutygodniowy kurs, jaki może być bardzo pożyteczny dla kształcenia ogółu wioślarzy, kandydatom na trenerów wioślarskich dać wiele nie może.

Pierwszą próbę stworzenia dwutygodniowego kursu zrealizował w roku zeszłym w Krakowie członek zarządu P. Z. T. W. Włodzimierz Długoszewski.

Kursy typu krakowskiego, t. j. dwutygodniowe i dostępne dla wioślarzy miejscowych, niezbyt dotychczas rutynowanych, należy nadal utrzymać. Tworzyć je winny Komitety Międzyklubowe w większych ośrodkach sportu wioślarskiego, a opracowanie szczegółowego programu takiego kursu należy do zadań naszego Związku i prawdopodobnie programy rozesłane zostaną wiąsną roku przyszłego. Jeżeli chodzi o tytuły, to słuchaczom kursu dwutygodniowego możnaby conajwyżej nadać, zapożyczony od innych sportów tytuł przodownika, a prawo wydawania tytułów trenera i instruktura pozostawić wyłącznie należy kursowi centralnemu.

Władze sportowe naszego Związku zdawały sobie sprawę, iż wartościowy kurs trenerski może być zorganizowany wyłącznie w kuźni wychowania fizycznego całego narodu, t. j. w C. I. W. F. na Bielanach.

Trenerów wioślarskich nie można tworzyć dorywczo i na kurs trenerski w żadnym razie nie można przyjmować kandydatów nie posiadających conajmniej kilku lat praktyki w roli zawodnika wioślarskiego. Im praktyka wioślarska bogatszą jest w starty zagraniczne, tem lepiej.

Wioślarstwo jest sportem trudnem do nauki. Wioślarz w 3-m lub 4-m roku przynależności do Klubu staje się dopiero pełnowartościowym zawodnikiem. Nie wszyscy jednak zawodnicy wioślarscy mają pedagogiczne zdolności i dlatego nie wszyscy mogą być trenerami. Na kurs powinno się przyjmować tylko tych kandydatów, którzy już samorzutnie wykazali zdolności w potrzebnem dla nas kierunku.

Nasi dotychczasowi trenerzy o znanych w wioślarstwie nazwiskach przeważnie mają już dostateczne wiadomości z praktyki wioślarskiej. Brak im było natomiast wiadomości o znaczeniu wychowania fizycznego, naukowych podstaw treningu sportowego, wiadomości ogólnosportowych, umiejętności prowadzenia zaprawy gimnastycznej i sportowego masażu.

Inicjatywę P. K. Ol. powołania do życia dwumiesięcznego kursu trenerskiego wioślarze powitali z zapałem. Niestety, nie wszyscy zgłoszeni kandydaci mogli być przyjęci ze względu na ograniczoną ilość słuchaczy i nie wszyscy odpowiedni kandydaci mogli się zgłosić, gdyż nie rozporządzali w tym okresie dwoma miesiącami zupełnie wolnego czasu.

Z pośród dużej ilości zgłoszonych kandydatów na kurs trenerski w C. I. W. F. po dokładnem rozpatrzeniu ich kwalifikacyj naukowych i sportowych, przyjęci zostali przez P. K. Ol. następujący wioślarze:

Budziński Norbert (trener K. T. W.),

Budziński Henryk (trener „Wisły"),

Tuliszka Mieczysław (trener W. K. S. „Grodno"),

Szelągowski Wiktor (wielokrotny mistrz Polski—Włocławek),

Urban Stanisław (dwukrotny olimpijczyk W. T. W.),

Dybalski Zygmunt (długoletni zawodnik K. W.04),

Otto Jerzy (długoletni zawodnik B. T. W.),

dr. Stankiewicz Wiktor (uczesnik regat międzynarodowych AZS. Wilno),

Zgliński Jan (długoletni zawodnik „Wisły" z Warszawy),

Miklikowski Jan (długoletni zawodnik „Wisły" z Grudziądza),

Perliński Czesław (długoletni zawodnik K. T. W.),

Grzesik Antoni (b. zawodnik AZS. i instruktor Y. M. C. A.),

Piechalak Edward (b. zawodnik „Wisły" i b. instruktor „Szkolnej przystani").

Wreszcie jako wolni słuchacze grupy na zajęcia wioślarskie przychodzili: Roszko Roman (instruktor CIWF) oraz Sztamm (znany trener bokserski).

Jak widać z powyższej listy prawie wszystkie ośrodki sportu wioślarskiego w Polsce miały swych przedstawicieli w CIWF, a więc: Warszawa, Bydgoszcz, Poznań, Kalisz, Włocławek, Wilno, Grodno i Grudziądz.

Żałować należy, iż M. Tuliszka z Grodna po trzech tygodniach obecności na kursie musiał wyjechać z Warszawy z przyczyn rodzinnych. Żałować równie należy, że na kursie nie mogli być obecni Fr. Brzeziński i E. Jankowski z Bydgoszczy, Maks Budziński i J. Mikołajczak z Poznania, J. Kawiecki z Płocka, wreszcie przedstawiciel wioślarskiego Krakowa.

Bogaty program kursu obejmował cały szereg wykładów i zajęć obowiązkowych dla wszystkich grup sportowych, oto ich spis:

Teorja wychowania fizycznego godz. 9 (płk. Dr. Gilewicz).

Teorja sportów, godz. 10 (instruktor Humen).

Organizacja ćwiczeń, godz. 9 (Kpt. Baran).

Organizacja klubów, godz. 4 (Inż. Kuchar).

Anatomja, godz. 15 (Dr. Stopnicki).

Fizjologja, godz. 15 (Płk. Drk. Misiuro).

Masaż, godz. 24 (kpt. dr. Mazurek).

Higjena ogólna, godz. 7 (mjr. dr. Milak).

Higjena sportu, godz. 5 (kpt. dr. Mazurek).

Pomoc doraźna, godz. 8 (kpt. dr. Jaworski).

Metodyka gimnastyki, godz. 9 (kpt. Suszkiewicz).

Ćwiczenia gimnastyczne, godz. 38 (instruktor Roszko).

Gry sportowe, godz. 7 (Kpt. Baran).

Gimnastyka przyrządowa, godz. 11 (Instruktor Kokalski).

Zapasy, godz. 5 (instruktor Ziółkowski).

Na specjalne zajęcia wioślarskie, które wobec braku teoretycznych wioślarskich wykładów na Bielanach, musiały obejmować na terenie wioślarskim teorję i praktykę, przeznaczono 8 godzin tygodniowo, czyli razem godzin 64.

Wszystkie zajęcia wioślarskie na terenach klubów W. T. W. i „Wisły" prowadzone były pod kierownictwem kpt. związkowego przez znanego trenera Fr. Haspla (W. T. W.).

Proponowane przez nasz Związek wykłady wioślarskich specjalistów z zakresu historji i organizacji wioślarstwa, z zakresu stylów wioślarskich i z metodyki treningu wioślarskiego niedało się tym razem zmieścić w ramy kursu trenerskiego.

Już w pierwszym tygodniu trwania kursu, specjalna komisja związkowa egzaminowała słuchaczy z dokładnej znajomości regulaminu regatowego i różnych przepisów P. Z. T. W. Wszyscy słuchacze zdali egzamin z wynikiem dobrym lub bardzo dobrym.

Przeprowadzona wśród słuchaczy kursów ankieta przyczyni się zapewne do ustalenia nazw części składowych łodzi sportowej (p. „Sport Wodny" Nr. 17).

Przy prowadzeniu zajęć grupy wioślarskiej wykorzystano dużo materjałów nadesłanych do naszego Związku przez Hugo Bormana, kierownika zajęć wioślarskich „Nie-



Grupa wioślarska Kursu trenerskiego. Siedzą od lewej: kpt. J. Baran (kierownik kursu), płk. dypl. K. Glabisz (P. K. Ol.), Inż. E. Lenartowicz (kapitan sportowy P. Z. T. W.), Fr. Haspel (trener W. T. W.), stoją pierwszy rząd: J. Otto, J. Miklikowski, E. Piechalak, Cz. Perliński, Dr. W. Stankiewicz, W. Szelągowski, S. Urban, H. Budziński, drugi rząd: R. Roszko, A. Grzesik, Z. Dybalski, J. Zgliński, N. Budziński.

mieckiej Wyższej Uczelni dla Ćwiczeń Cielesnych" w Berlinie (Deutsche Hochschule für Leibesibungen).

Praktyczne zajęcia na kursie były nast.: W basenie zimowym i wyjazdach na łodziach sportowych—nauczanie wiosłowania wioślarzy początkujących i prowadzenie treningu wioślarzy zaawansowanych. W warsztacie — zapoznanie się z gatunkami drzewa, używanemi przy budowie łodzi i wioseł, remont łodzi łącznie z polakierowaniem, ustawianie odsadni dla różnej wysokości wioślarzy i odpowiednie ustawianie dulek.

Z teorji wioślarskiej, którą pomimo trudności językowych prowadził doskonały teoretyk Fr. Haspel, na egzamin, który odbył się w obecności przedstawicieli Związku, wykładowca przygotował doskonale opracowane pytania, które tworzyły 3 zasadnicze grupy:

1. Teorja wiosłowania.
2. Wiadomości o łodzi.
3. Istruowanie, trening i zadania myślowe.

Ramy niniejszego artykułu niepozwalają na bardziej szczegółowe informacje o zajęciach i teorji wioślarskiej. Prawdopodobnie trener Haspel ogłosi w „Sporce Wodnym" chociaż część swych wartościowych prac.

Grupa wioślarska na kursie w CIWF, jako całość wyróżniała się sumiennością pracy i zrozumieniem swych przyszłych zadań. Nieraz bardzo trudne egzaminy teoretyczne zdawali wioślarze z wynikiem dobrym lub bardzo dobrym. Wioślarze zasłużyli sobie na wielokrotne pochwały kierownika kursu i dyrektora CIWF, o czem wiadomo było prezesowi P. K. Ol. i co komunikowano nawet na zebraniu Z. Z.

P. K. Ol. przy wydawaniu świadectw z ukończenia kursu trenerskiego pomimo mniej więcej jednakowo dobrych wyników osiągniętych przez wioślarzy, musiał w przyznawanych tytułach zrobić pewną różnicę ze względu na niejednakowej wartości dotychczasową praktykę wioślarską.

Tytuły trenerów wioślarskich otrzymali: Budziński H., Budziński N., Dybalski Z., Otto J., dr. Stankiewicz W., Szelągowski W., Urban S. i Zgliński J.

Tytuły instruktorów wioślarskich otrzymali: Grzesik A., Miklikowski J., Piechalak E. i Perliński Cz.

Za zrealizowanie kursu pozwalam sobie na tem miejscu, w imieniu Związku oraz w imieniu całego wioślarstwa, złożyć podziękowanie pp.. Płk. Glabiszowi (P. K. Ol.), Płk. Kilińskiemu (P. U. W. F. i P. W.), Płk. Gilewiczowi (C. I. W. F.) oraz Kpt. Józefowi Baranawi — kierownikowi kursu.

W sobotę dn. 13 października w auli C. I. W. F. odbyła się piękna uroczystość zakończenia pierwszego kursu trenerów i wręczenia słuchaczom dyplomów. Skromna kolacja i wspólna fotografja zakończyły uroczystość.

O ile grupa wioślarska umiała sobie zdobyć dobrą opinję władz naczelnych kursu, to z drugiej strony kierownictwo kursu, dyrekcja C. I. W. F. i znaczna większość wykładowców, zjednała sobie u słuchaczy nietylko wielką sympatję, ale często i zachwyt. Dziś, t. j. zaraz po zakończeniu kursu, przy doskonałem wrażeniu z całości, trudno jest orzec co na kursie było zbędne i czem następny kurs należy uzupełnić.

W każdym razie jedna rzecz jest pewna, a mianowicie to, że kurs był potrzebny i że wyłożone na ten cel przez P. U. W. F. i P. W. fundusze dadzą duży pożytek.

Spodziewać się należy, iż coroczne kursy trenerskie wejdą do stałego programu prac C. I. W. F.

E. Lenartowicz

Podstawy wyszkolenia wioślarskiego

(Zastosowane w dziele wioślarskim Niemieckiej Wyższej Uczelni dla Ćwiczeń Cielesnych od r. 1928) autor Hugo Borrmann przetłumaczone przez Komisję sportową P. Z. T. W. do użytku słuchaczy kursu trenerskiego

1. Wiosłowanie na krótkie wiosła jest łatwiejsze, niż wiosłowanie jednem długiem wiosłem, ponieważ jest ruchem symetrycznym. Łodzie publiczne do wynajęcia są właśnie łodziami na krótkie podwójne wiosła. Praca rąk prowadzących wiosła jest łatwiejszą do wykonania jedną ręką jednem wiosłem ,aniżei dwoma rękami jednem wiosłem. „Ciągnąć" — a więc to co ostatecznie jest najistotniejszem przy wiosłowaniu, uczy się najłatwiej dwoma rękami — a więc — wiosłujmy dwoma krótkiemi wiosłami.

2. Uczucie posuwania się na wodzie uzyskuje się najlepiej w łodzi poruszającej się na wodzie, a nie w nieruchomej skrzyni. Dlatego należy zaczynać naukę wiosłowania w łodzi niewrażliwej na wychylenia, albo też w ruchomej skrzyni (aparacie) z ukośnemi ścianami; taka „łodzioskrzynia" jest podatniejszą, niż zwyczajna kwadratowa skrzynia i posuwa się łatwiej. Jako wiosła: krótkie wiosła z pełnemi piórami, które jedynie przyjmują pozycję naturalną w wodzie. Jako siedzenie siodełko wysunięte na koniec szyn, dulki nisko.

3. Zaczynać należy naukę w ten sposób, że każe się początkującemu poruszać wiosło z piórem w wodzie, i to w ten sposób, że początkowo tylko posuwa końcami palców wiosło przed sobą, później lekkotrzymającą ręką. To należy ćwiczyć tak długo, aż je ćwiczący pewnie opanuje. Wyjmowanie z wody i prowadzenie pióra nad wodą nie należy uczyć osobno, — nikt nie jest tak głupim, żeby tej zabawy dziecinnej nie nauczył się sam ze siebie.

4. Jeżeli posuwanie idzie dobrze po lewej stronie, to nauka po prawej stronie pójdzie już łatwo. Wtedy należy zaczynać przesuwanie do tyłu obu rękojeści. Przytem nie pomagać! Częściej jak sto razy nie uderzył się jeszcze nikt w wielki palec. Oczy uczącego się powinny być skierowane nie na łódź, ale na palce, a przedewszystkiem na pióro. Na piórze poznaje uczący się skuteczność swych ruchów palcami.

5. Uczący się musi się nauczyć odczuwać ruchy pióra; ciało może trzymać jak chce. Samo z siebie będzie to wolne i niemęczące, trzymanie ciała. Jeżeli bowiem uczący się miałby równocześnie zwracać uwagę na trzymanie ciała i prowadzenie pióra, to musi swą uwagę dzielić i dlatego męczy się fizycznie i psychicznie prędzej, a to nie jest celem uczenia początkujących.

6. Nauczyciel wiosłowania czy kierownik nauczania niech zadaje początkującemu tylko to zadanie, by suwał przed sobą tam i spowrotem rękojeścią na prawo i lewo i niech go pozostawi samemu sobie do następnego zadania. Tylko nie poprawiać ciągle małostkowo!

7. Ruchy wstecz ćwiczy się dlatego najpierw ponieważ przy nich nie trzeba używać takiej siły jak przy ciągnięciu. Jeżeli idą dobrze — wtedy jedną ręką z jednej strony naprzód — bez siły — pozwalając pióru spokojnie płynąć, — zawsze jeszcze siedząc na siodełku, nie posuwając go po szynach. Następnie z drugiej strony, a ostatecznie obustronnie: bez siły, bez jeżdżenia siodełkiem, ale z du-

żą dozą dobrej woli do samodzielnego próbowania. Przy wiosłowaniu wprzód nabywa się stopniowo ruchu wahadłowego ciała, który nie jest potrzebny przy posuwaniu siodełkiem wtył.

8. Przy ćwiczeniach najlepiej pióra prowadzić po wodzie (a nie w powietrzu), aby początkujący przyuczył się do lekkiego trzymania wiosła. Woda jest mistrzem i nauczycielem, — a nie nauczyciel lub wioślarz.

9. Jeżeli wiosłowanie obu rękami wprzód idzie już jako tako, wtedy należy od początkujągo żądać, by wychylał się naprzód możliwie daleko, tak daleko jak to jest możliwem i jemu wygodnem. Wtedy zacznie sam z siebie usunąć naprzód siodełkiem, o ile go nauczyciel podświadomie nie zastraszył. Łagodne tłumaczenie i lekka pochwała w chwili, gdy uczeń sam z siebie osiągnie pewien postęp,— czynią cuda i sprawiają uczącemu się przyjemność. Ażeby to uczucie przyjemności wywołać, a nie pomniejszać je przez zgromadzenie nadmiernych wymagań — oto zadanie nauczyciela.

10. Człowiek miernie zwinny i zgrabny, dojdzie do tego punktu po 60 — 75 minutach pracy. W drugiej godzinie nastąpi krótkie powtórzenie podstaw, poczem odbijanie od pomostu przez (Abpaddeln), później wiosłowanie wprzód bez wysiłku, ale z posuwaniem się na szynach, wreszcie powoli z dodaniem odbicia nogami dla osiągnięcia w przyszłości taktu wiosłowania (rytmu) i gdy już praca piórem jest pewna, nareszcie zwrot uwagi na ruchy ciała (nie na trzymanie ciała).

11. Postawa nigdy sztywna, zawsze naturalnie wyprostosowana (chód człowieka powinien być prosty i swobodny). Ruch wytwarza sobie sam formę. Nie należy nigdy czynić ruchu ofiarą formy. a więc nigdy nie uczyć wiosłowania stylowego jako celu dla siebie.

12. Posuwanie pióra po wodzie musi powoli ustawać, a jego miejsce wchodzić balansowanie pióra w powietrzu. Resztę wyszkolenia tworzą ruchy obrotowe i stopujące. W trzeciej godzinie utwierdza się wszystko, czego się dotychczas nauczono. Od czwartego razu zaczyna się nabywanie w drodze samouctwa, pewnego i spokojnego prowadzenia łodzi w szerszej, a później węższej jedynce klepkowej. Wystarczy, jeżeli kierownik wyszkolenia od czasu do czasu obserwuje i porozumiewa się z uczącym co do błędnych ruchów, względnie udziela mu wskazówek. W zasadzie powinien uczący się być zdany na własne siły (studjować).

13. Kiedy początkujący na dłuższych ćwiczeniach i wycieczkowych jazdach nabył już dostateczne wyćwiczenie w łodzi na podwójne wiosła nawet o liczniejszej obsadzie, staje się specjalne „szkolenie" w wiosłowaniu pojedyńczem wiosłem prawie niepotrzebnie. Wystarczą krótkie wskazówki. Wogóle nie powinni wioślarze w łodzi o podwójnych wiosłach na długich wiosłach wiosłować krzywo.

14. Wyszkolenie postępuje tem pewniej naprzód, im lepszym jest stan taboru. W pierwszej linji dostateczne nachylenie dólki (4 stopnie, razem 8 stopni). Nie za wysokie dólki, nie za niskie siedzenie w stosunku do napiętka. Odpowiednia długość rękojeści, prawie równoległy podnóżek. Niskie rzemyki. Możliwie płaska deska podnóżka (45 stopni jest już zwykle za strome), wznoszące się szyny. Odstęp 50 cm. nałożonego stałego siedzenia jest zwykle fałszywy, jeżel rękojeści są odpowiednie dla szyn o długości 60 cm. dłuższych.

15. Kolejność ruchów dla krótkich i długich wioseł: przy końcu szyn „z góry" ramiona-ciało-nogi, przy wyłożeniu się wprzód „z dołu" nogi-ciało-ręce, — oba ruchy z przejściami. Siły wzmaga się z dołu do góry, prowadzenie utrzymuje się w górze.

16. Uderzenie wiosłem to: a) przez wodę: jak start przy pływaniu na grzbiecie mocno odbić się od ściany basenu (ręce długie) lub przy jeździe na rowerze: nacisk na pedały — wszystko inne przyjdzie już samo przez się, b) przy jeździe siodełkiem do przodu: jak ruch nogami przy pływaniu żabką: kolana lekko podciągać.

Zamknięcie sezonu w Oficerskim Yacht Klubie R. P.

Na przystani Oficerskiego Yacht Klubu odbyła się dnia 18 b. m. uroczystość zamknięcia sezonu letniego. Na wstępie odbyło się opuszczenie flagi na maszcie klubowym, poczem w sali klubowej nastąpiła uroczystość rozdania dyplomów sternikom żeglarskim i motorowym.

Dyplomy sterników zdobyło 79 osób, a sterników motorowych 26 osób, w tem min. Beck, gen. Kasprzycki, pułk. Spałek, pułk. Sokołowski i in.

Żeźlarze klubu zdobyli w r. bież. 39 nagród, wioślarze odbyli 2002 wycieczek, dyplomy kajakowe zdobyło 25 osób, a dyplomy pływackie 30 osób.

Po sprawozdaniu z działalności, złożonem przez pułk. Grodzickiego, przemówił pułk. Spałek, wznosząc okrzyk na cześć honorowych komandorów klubu Pana Prezydenta R. P i Marszałka Piłsudskiego.

Następnie odbył się pokaz filmów sportowych, oddanie do użytku zimowego basenu pływackiego a na zakończenie dancing towarzyski.



Angielskie osady trenują na Tamizie nawet po ukończeniu sezonu wioślarskiego

Szkolenie żeglarzy

Poglądy na kwestję szkolenia żeglarzy, ściślej mówiąc jachtsmenów, są u nas bardzo jeszcze różne, nieskoordynowane. Jest to rzeczą zupełnie naturalną w społeczeństwie w którem to zagadnienie nie ma oparcia o tradycję. Owszem tradycja istnieje, ale tylko u jednostek, u żeglarzy, którzy uprawiali ten sport jeszcze przed wojną. będąc członkami klubów nie polskich, gdyż polskie nie istniały, ale zato mających za sobą duży dorobek pracy i doświadczenia. Tym właśnie jednostkom zawdzięczamy istnienie naszych klubów żeglarskich i ich organizację, dostosowanych do naszych warunków lokalnych.

Oprócz tego istnieje pewna grupa żeglarzy, którzy wprawdzie uprawiali żeglarstwo jeszcze przed wojną, ale już to zawodowe, już też sportowe, ale nie należąc do żadnego klubu jachtowego. Grupa ta zapatruje się na jachting wyłącznie z punktu widzenia turystyki, nawigacji i propagandy morza.

Jest jeszcze pewna grupa. przeważnie młodych żeglarzy, już „własnego chowu", których pędzi na dalsze lub bliższe wody, żądza wrażeń, pęd do „grande aventure".

Każda z tych grup zapatruje się inaczej na kwestję przygotowania żeglarskiego, z punktu widzenia, że tak powiem, „własnego podwórka".

Do tego dodać trzeba jeszcze tych, którzy chcieliby widzieć w szkoleniu żeglarskiem tylko część, t. zw. wychowania fizycznego.

Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden moment specyficznie polski. W krajach o wiekowych tradycjach morskich i dawnych bardzo tradycjach jachtingowych, kwestja szkolenia odnosi się wyłącznie do młodzieży i to przeważnie tej najmłodszej. U nas inaczej. Z chwilą odzyskania niepodległości i dostępu do morza, pęd do morza, pęd do żeglarstwa objął nietylko młodzież, ale też i dorosłych ludzi dojrzałych, nieraz zajmujących poważne stanowiska. Trzebo tym dać możność nauczenia się żeglarstwa i zaznajomienia się z morzem.

Zdawałoby się, że pogodzenie tych wszystkich prądów i sprowadzenie szkolenia jachtsmenów do jakiegoś wspólnego mianownika jest rzeczą niemożliwą.

Tak źle jednak nie jest. Trzeba tylko trochę dobrej woli i systematycznego ujęcia kwestji.

Spróbujemy analizy tego problemu, żeby potem drogą syntezy dojść do konkretnych praktycznych wniosków.

Przedewszystkiem postawmy sobie pytanie co to jest jachting? Odpowiedź jest prosta i krótka: żeglowanie dla przyjemności.

Jedni żeglarze znajdują tę przyjemność w samem opanowaniu jachtu, w walce z siłami przyrody, inni uważają to tylko za „malum necessarium", bez którego niemożliwe jest dopięcie właściwego przyjemnego celu, jakm jest zwiedzanie odległych krajów i bezpośrednie obcowanie z przyrodą. Trzecia wreszcie kategorja widzi przyjemność w współzawodnictwie, w regatach.

Rzecz jasna, że są jachtsmeni, którzy ujmują jachting z kilku wyżej wymienionych punktów widzenia.

Drugie pytanie, które sobie zadać musimy, jest to, czy oprócz momentu przyjemności są jeszcze jakieś poważniejsze wartości tkwiące w jachtingu, bo gdyby ich nie było, to pocóż miałoby sobie zaprzątać głowę społeczeństwo i władze państwowe? Niech się każdy stosownie do swoich upodobań i możności stara o swoją przyjemność, samotnie lub łącząc się z innymi sympatykami tej samej przyjemności, t. j. tworząc kluby jachtowe.

Tu dochodzimy właśnie do sedna sprawy. „Przyjemność" łączy się z pożytkiem, zarówno dla uprawiającej ją jednostki, jak i dla Państwa. Sport żeglarski służy równie do wzmocnienia fizycznego, jak i duchowego uprawiających go jednostek. Przebywanie na powietrzu, wolnem od pyłu i wielkomiejskich wyziewów, przesiąkniętem zbawczemi składnikami wody morskiej, wywiera zbawienny wpływ na zdrowie. Walka z elementem, wyrabia siłę ducha, szybką orjentację, stanowczość i szybkość decyzji, obowiązkowość i odpowiedzialność. Wspólne niebezpieczeństwa i wspólne przeżycia wogóle wytwarzają więzy prawdziwego koleżeństwa, a świadomość, że tylko bezwzględne podporządkowanie się autorytetowi kapitana gwarantuje powodzenie i bezpieczeństwo, wyrabia karność, tak potrzebną dla każdego dobrego obywatela. Bezpośrednie obcowanie z morzem uczy je kochać, przebywanie nad morzem i styczność z żeglugą morską, otwiera oczy na szerokie horyzonty i poucza praktycznie o znaczeniu morza dla Państwa. Jeżeli jeszcze dodamy możliwość współzawodnictwa sportowego w obcych portach w międzynarodowej konkurencji, pokazania światu, że i na tym odcinku nie jesteśmy ostatni, — to musimy stwierdzić, że żaden inny sport nie daje tak wszechstronnych korzyści jednostce i Państwu.

Dlatego też leży w żywotnym interesie Państwa popierać i ułatwiać tę pożyteczną „przyjemność".

Ze względu na międzynarodowy charakter sportu żaglowego, który oprócz przyjemności jaką sprawia jachtsmenom, nakłada na nich duże obowiązki reprezentacyjne, nie może on być pozostawiony bez opieki i ścisłej kontroli. Nie można dopuszczać do tego, żeby każdy żeglarz z bożej łaski zawieszał prześcieradło na lada balji i jechał



Pięknie prezentujące się żeglarki-artystki do zdjęć filmowych

w świat, nazywając tę balję jachtem, a siebie jachtsmenem. Dlatego też kwestja szkolenia i dodam jeszcze wychowania jachtsmenów jest w naszej młodej państwowości szczególnie ważną i godną zastanowienia.

Biorąc pod uwagę różne poglądy na istotę jachtingu, jak to rozpatrzyliśmy powyżej, musimy przedewszystkiem zastanowić się, czy np. jachtsmen-turysta i jachtsmen-regatowy potrzebują odmiennego przygotowania, każdy, że tak powiem, do swojej specjalności. Otóż tu muszę odpowiedzieć kategorycznie: nie. Jachting jest sportem, jachtsmen sportmenem. Jako taki musi znać dobrze całokształt swojego sportu, bez względu na to, czy jego osobiste upodobania idą więcej w jednym, czy w drugim kierunku. Osobiście uważam szkolenie jachtsmenów tylko pod kątem widzenia turystyki za niecelowe i wprost szkodliwe. Jachting pojęty w ten sposób, nie różni się wiele od zwykłego włóczęgostwa morskiego i prowadzić musi do pewnej niedbałości nawigacyjnej. Regaty natomiast są koroną jachtingu i najlepszym sprawdzianem umiejętności i sprawności żeglarskiej. Na regatach jachtsmen nie może sobie wybrać ani pogody, ani najdogodniejszego kursu. Jacht, ożaglowanie, kompas — wszystkie musi być w największym porządku, a każdy manewr, każde niemal poruszenie steru musi byc wykonane precyzyjnie i celowo. Na regatach pokazuje się dopiero w całej pełni wartość jachtsmena.

Dlatego też szkoląc jachtsmenów, trzeba ich od początku zaznajamiać z przepisami i zwyczajami regatowemi w teorji i praktyce, zaczynając od małych zawodów na jolach i przechodząc do coraz poważniejszych.

Drugą kwestją u nas często dyskutowaną jest czy jachting na wodach wewnętrznych, a szczególnie na rzekach, jest jachtingiem w ścisłem tego słowa znaczeniu i są nawet ludzie, którzy na żeglarzy śródlądowych spoglądają z góry, jakby na jakąś podrzędną rasę. Jakkolwiek osobiście nie mam pociągu do słodkiej wody, a już szczególnie żeglowania po Wiśle nie uważam za przyjemność, a raczej ciężką pracę, to jednak uważam, że jachting śródlądowy jest bardzo dobrem przedszkoleniem do jachtingu morskiego. Jachtsmen słodkowodny z pewnością bardzo łatwo przeszkoli się na słonowodnego. Nie znaczy to jednak, żebyśmy mieli uważać jachting wewnętrzny za konieczną „szkołę powszechną", bez której ukończenia nie można dostać się na morze.

Słyszy się często tezę, że sport żeglarski powinien stać się sportem masowym, że powinno się w tym kierunku uprawiać jaknajdalej idącą propagandę i t. p. Nie mogę się zgodzić z takiem stawianiem kwestji. Jachting jest sportem szczególnym, który różni się od innych sportów przedewszystkiem tem, że pierwszą rolę odgrywa w nim inteligencja, a więc strona duchowa, nie zaś siła fizyczna, jak w przeważającej ilości innych sportów. Powtóre narzędzie tego sportu, jacht, nie jest dostępne dla każdej kieszeni i to nietylko jako jednorazowy wydatek, ale też, jeżeli się zważy koszty utrzymania, ubezpieczenia etc. Wreszcie więcej jak w innych sportach koniecznem jest u jachtsmena zamiłowanie do tego sportu. Jachtsmena z obowiązku nie mogę sobie wyobrazić. Wreszcie ze względu na charakter reprezentacyjny tego sportu, trzeba od jachtmenów wymagać dużego poziomu kulturalnego. Wtłoczenie jachtingu w ramy przysposobienia wojskowego, jak tego chcą niektórzy, uważam również za niecelowe. Dla siły zbrojnej Państwa sport żeglarski nie przedstawia tak bezpośredniej korzyści, jak np. atletyka, boks, strzelanie i t. p., lecz tylko wartość pośrednią, przez swój wpływ na wzmożenie tężyzny fizycznej i moralnej. Dla Marynarki Wojennej nawet nie stanowi on bynajmniej takiego przygotowania jak to sobie niektórzy mylnie wyobrażają.

Wreszcie trzeba zaznaczyć że jeżeli jachting ma dać takie rezultaty, jakich wszyscy chyba oczekujemy, t. zn. pokazać światu, że i w tej dziedzinie Polska nie jest na ostatniem miejscu i dowieść ad oculos na terenie międzynarodowym, że Polak nie tylko sieje i orze, ale i na wodzie niemniej od innych potrafi, to musimy jachting oprzeć na jednolitym, solidnym fundamencie. Szkolenie jachtsmenów musi się odbywać według jednego ściśle ustalonego programu, ułożonego przez doświadczonych jachtsmenów i przez nich kontrolowanego. Musi więc istnieć jedna najwyższa instancja sportowa dla jachtingu, która kierując sportem musi mieć wpływ decydujący na przygotowanie sportowe. Podkreślam jednak, że ta najwyższa instancja sportu żeglarskego powinna dawać tylko program i kierunek, ale nie zajmować się sama organizowaniem i prowadzeniem szkolenia.

Tą instancją jest Polski Związek Żeglarski.

Samo szkolenie trzeba podzielić na dwie grupy. Jedna to młodzież w wieku szkolnym, druga młodzież dojrzała. Dla pierwszej grupy mogłyby i nadal istnieć ośrodki organizowane dotychczas przez PUWF, chociaż uważam, że byłoby bardziej celowem danie tych pieniędzy, które rok rocznie te ośrodki i ich flotyle kosztują jako subwencje poszczególnym klubom żeglarskim, zobowiązując je równocześnie do szkolenia pewnej ilości chłopców.

Młodzież dojrzała, która przeszła już pierwsze wyszkolenie lub też i nie, ma sposobność doskonalić się w jachtingu, zapisując się do istniejących klubów i sekcyj żeglarskich.

Trudniejszy problem stanowi szkolenie starszych kandydatów na jachtsmenów. Problem ten jest narazie jeszcze aktualny, jak długo nie dorośnie młodzież, a nie zniknie obecna generacja. Nie zgodzę się nigdy z tymi, którzy twierdzą, że szkolenie takich „starszych panów" jest zbyteczne, że należałoby im zamknąć zupełnie drogę do jachtingu. Uważam, że jestto zapatrywanie błędne, bo choć zapewne z takiego „starszego pana" mecenasa czy doktora nie będzie nigdy prawdziwy „wilk morski", to przecież dla zrozumienia sportu naszego wśród społeczeństwa, może to mieć duże znaczenie, jeżeli będziemy mieli sympatyków wśród ludzi zajmujących stanowiska, na których mogą coś zrobić dla sprawy, a zrobią to z pewnością lepiej, jeżeli będą obeznani z nią praktycznie.

Na zakończenie jeszcze kilka słów na temat personelu, który ma szkolić przyszłych jachtsmenów. Mogą to być tylko ludzie, którzy sami są jachtsmenami, gdyż uczyć może tylko ten, kto sam dokładnie zna przedmiot nauczania. Tu muszę zaznaczyć, że jakkolwiek sam jestem starym zawodowym marynarzem, a może właśnie dlatego, uważam i twierdzę, że nie wystarczy być marynarzem, żeby być jachtsmenem, jak i zresztą naodwrót. Dlatego też błędnem jest mniemanie, że każdy marynarz, może być instruktorem jachtingu. Może nim być tylko taki, który sam jest jachtsmenem.

Czesław Petelenz



Spływ kajakowy do morza Czarnego

(dokończenie)

Deszcz lał jak z cebra. Minęliśmy jeszcze trzy młyny, ale tym razem bez wypadku i po południu wylądowaliśmy w okolicy Roman. Natychmiast wyciągnęliśmy, jak zwykle kajaki na brzeg, poukładaliśmy jeden obok drugiego i rozbiliśmy namioty. Niedługo potem do naszego obozu przybyło kilkanaście osób z pośród miejscowego społeczeństwa, przedstawiciele władz, oraz jeden duchowny. Witali nas bardzo serdecznie i wykazywali wielkie zainteresowanie. Na specjalne wyróżnienie zasługuje fakt, że komendant miejscowej żandarmerji przysłał nam niezwłocznie kilku żołnierzy do pełnienia warty w obozie, a kierownik sąsiedniej szkoły ofiarował szkołę na nocleg. Oczywiście, z tej propozycji wielu kolegów, a zwłaszcza koleżanki, z wielkiem zadowoleniem i wdzięcznością skorzystało. Z podobnemi faktami spotykaliśmy się na terenie Rumunji na każdym niemal kroku, n. p. fryzjerzy nie przyjmowali zapłaty za golenie, a apteki za lekarstwa. Są one wymownym dowodem serdecznego stosunku i życzliwości, jaką nas otaczano.

Piszę te słowa w poczuciu obowiązku moralnego, jaki spada na mnie, jako na organizatora i kierownika wymienionej imprezy. Pragnę, aby wiadomości te dotarły do jaknajszerszych sfer naszego społeczeństwa.

Po kolacji tego dnia część kolegów zajęła się konserwacją kajaków, a reszta udała się do miasta, celem poczynienia zakupów żywności. Nazajutrz, wczesnym rankiem wyruszyliśmy dalej. Mijamy kilka przeszkód dość szczęśliwie, dopiero koło południa przy mijaniu mostu dość nisko przerzuconego przez rzekę — jeden kajak „wysypał" się. Prąd był b. silny — woda zniosła kajak bokiem i uderzyła o słup. Wywrotka ta była w skutkach dość przykra, bo kajak „złapał" dziurę, a jadący w kajaku skąpali przymusowo nietylko siebie, ale i aparat fotograficzny „Leica".

Wylądowaliśmy zaraz za mostkiem i zajęliśmy się remontem kajaka, a przez ten czas „topielcy" rozpalili ognisko i suszyli swoje „manatki". Cała ta historja zajęła nam około 2 godzin. Przy mijaniu tego rodzaju mostków cała sztuka polega na tem, że zdaleka trzeba wycelować kajak pod obrane przęsło i pruć „całą parą" naprzód przez sam środek, a czasem trzeba się jeszcze mocno pochylić, aby nosem nie uwadzić o most. Z raz obranego miejsca przejazdu nie wolno rezygnować w ostatniej chwili i szukać szczęścia w innem miejscu, bo zawsze w takim wypadku woda znosi i kończy się conajmniej przymusową kąpielą, jak wyżej. Na tym postoju dołączyło się do nas jeszcze 4 uczestników spływu z p. D-rem Mazurkiem na czele, którzy kilka dni później wyjechali z Warszawy. Po zreperowaniu kajaka płyniemy dalej. Mijamy ostatni „młynek" jakoś szczęśliwie. Koło godziny 3 wiecz. dnia 3/VII zatrzymujemy się przed starym mostem obok miasta Bacau, odle-



Uczestnicy spływu w Eforji nad morzem Czarnem, w obozie Rumuńskiego Instytutu Wychowania Fizycznego (O. N. E. F.)





Na cmentarzu Eyouba w Konstantynopolu.
Wjazd do Bosforu.
Okręt „Regele Carel"

głego od brzegu o 7—8 klm. Deszcz padał prawie bez przerwy. Zatrzymaliśmy się tu 2 dni, celem odpoczynku i uzupełnienia zapasów żywności oraz brakujących sprzętów gospodarczych, jak: primus, kilka garnków i t. p. Żywność dowieść można do brzegu taksówką lub dorożką konną. Ogromne zmęczenie, niewygody życia obozowego, ciągłe deszcze niesprzyjały nastrojom towarzyskim. Dnia 5/VII zaczęło się na niebie rozjaśniać. Płyniemy dalej, zadowoleni, że najtrudniejszy odcinek od Pascani do Bacau mamy już za sobą. Kilka kilometrów za Bacau wpada Bystrzyca. Prąd niósł nas b. szybko. Pogoda ustaliła się na dobre, słońce w miarę posuwania się na południe coraz bardziej przypiekało, trzeba było chronić głowy od porażenia słonecznego. Dalsza droga Seretem była dobra. Mieliśmy wprawdzie jeszcze dwie wywrotki, spowodowane przez kołki, pozostałe po starym moście. Bez szczególniejszych wydarzeń dotarliśmy do Dunaju, a następnie dobiliśmy do portu Galacu dnia 8 lipca. Wylądowaliśmy na terenach portowych i niezwłocznie rozbiliśmy obóz. W kilka chwil potem przybyła do nas grupa harcerzy rumuńskich, uczniów szkoły morskiej, i zameldowała się do kierownictwa z gotowością pełnienia warty przy obozie. Z prawdziwem wzruszeniem przyjęliśmy propozycję dzielnych zuchów. Oddaliśmy im obóz pod ich opiekę, a sami poszliśmy do miasta na kolację do jednej z pierwszorzędnych restauracyj — oczywiście w naszych mocno „sfatygowanych" garniturach treningowych. Wzbudziliśmy ogromne zainteresowanie wśród elegancko w około nas ubranych mieszkańców miasta. Zaraz znaleźli się reporterzy prasowi, którzy zamęczali nas swojemi wywiadami. Po kolacji zatańczyliśmy mazura z wielkiem powodzeniem i powróciliśmy do obozu. Wieczorem przybyli do obozu żołnierze, skierowani przez kapitanat portu celem pełnienia warty. Na drugi dzień rano złożył nam wizytę kapitan portu Pascu i oddał do naszej dyspozycji dwie łodzie motorowe celem przejażdżki po porcie. P. Kpt. Pascu osobiście oprowadzał nas po porcie i udzielał wielu cennych wyjaśnień. Spotykaliśmy tu ogromne okręty oceaniczne z różnych dalekich krajów. Zwiedziliśmy b. ciekawą chłodnię ryb i giełdę rybną. Widzieliśmy tu niezwykle ciekawe okazy ryb od małej płotki rzecznej do kilkumetrowych bydląt morskich. Tego dnia zwiedziliśmy jeszcze miasto, oraz poczyniliśmy zakupy żywności na dalszą drogę. Po południu część uczestników szyła fartuchy do swoich kajaków, a reszta pojechała statkiem do Brailli celem zwiedzenia miasta. Wieczorem tego dnia część uczestników spływu, którzy z tej, czy innej przyczyny nie mogli brać udziału w dalszym spływie, odjechała okrętem do Eforji. Nazajutrz dnia 10.VII zwijamy pośpiesznie obóz i spuszczamy kajaki na wodę. Niebawem zjawia się zastęp harcerzy rumuńskich w białych marynarskich ubraniach z p. Kpt. Pascu na czele celem pożegnania nas. Kilka serdecznych przemówień, rozwinięcie flagi polskiej i rumuńskiej, wymiana gorących okrzyków na cześć obu zaprzyjaźnionych narodów tworzyła przemiłą i nigdy niezapomnianą chwilę. Chwila ta była jeszcze jednym dowodem, że przyjaźń Polski i Rumunji istnieje nietylko na papierze, ale tkwi głęboko w sercach obu narodów. Na zakończenie kierownictwo spływu ofiarowało dzielnym zuchom jeden kajak. Harcerze przyjęli go z wielką radością, zapewniając nas jednocześnie, że w krótkim czasie sami wyprodukują 20 takich kajaków, o czem nie omieszkają powiadomić Związek Naucz. Polskiego w Warszawie. Ruszamy w dalszą drogę Dunajem, odprowadzani przez naszych harcerzy z Kpt. Pascu na czele, którzy płynęli na łodziach motorowych daleko po za obręb portu. Dunaj początkowo był spokojny — płynęło się świetnie. Wszystkie statki, które nas w drodze mijały, były uprzedzone o naszym spływie i otrzymały polecenie ostrożnego mijania nas przy zamkniętej parze, aby nie wytwarzać wielkich fal. Dopiero w pobliżu stacji kolejowej Reni przy ujściu Prutu do Dunaju powstały ogromne fale, które zalały jeden najpłytszy kajak. Dzięki tylko uszczelnionym komorom nie poszedł na dno. Przy pomocy dwóch kajaków doholowaliśmy go do brzegu. Okazało się, że kajak był przy samym kilu przedziurawiony, wskutek czego woda dostała się do przedniej komory. Reperacja zajęłaby nam sporo czasu. Ponieważ w Galacu zostało kilka naszych kajaków, które miały być później przesłane pociągiem do Eforji, przeto zatelefonowaliśmy do Kpt. Pascu prosząc go, aby nam przysłał jeden z pozostałych w Galacu kajak, na co Kpt. Pascu najuprzejmiej się zgodził. Rozbitkowie zostali wobec tego w Reni, czekając na kajak, a reszta, nie tracąc czasu, popłynęła dalej. Po niedługim stosunkowo czasie zawinęła do Reni łódz motorowa, wioząc na swoim pokładzie kajak. Po kilku godzinach pościgu łodzią motorową dopędzono pozostałą gromadę, która rozbiła już obóz i gotowała kolację. Nocowaliśmy tego dnia około 40 km. przed Tulczą. Wczesnym rankiem dnia 10 lipca po śniadaniu wyruszyliśmy dalej i bez specjalnych przygód dotarliśmy do Tulczy o godz. 11. Pozostawiamy kajaki na wodzie przy brzegu, jeden obok drugiego i idziemy do miasta na obiad. Po obiedzie czynimy zakupy żywności i wracamy o godz. 13 na brzeg. Wsiadamy do kajaków i płyniemy dalej. Słońce

praży niemiłosiernie. Jedna z uczestniczek spływu dostała porażenia słonecznego, ale dzięki troskliwej opiece lekarskiej dra Mazurka choroba minęła bez przykrych następstw, chyba tylko to, że przez jakiś czas musieliśmy po kolei ciągnąć za sobą uwiązany na lince kajak z chorą. Mijamy Mahmudję — dojeżdżamy do miejsca, w którym Dunaj zatacza pętlę długości 24 km. Chcąc sobie skrócić drogę, wjażdżamy w wąski kanał, którym rybacy przeciągają swoje łodzie na sąsiednie limany. Musieliśmy kawałek, około 200 m. przeciągać kajaki, a następnie przenosić je blisko 500 m. na sąsiedni zalew. Zajęło nam to okrągło 3 godziny czasu. Krótko mówiąc, nie opłacała się „skórka za wyprawę", bo prędzej i mniejszym nakładem naszej energji przejechalibyśmy te 24 km. Dunajem. Wieczorem rozbiliśmy obóz na lewym brzegu Dunaju przy ujściu wąskiego kanału, łączącego zalew z Dunajem. Brzeg niski — dookoła moczary i bagna, komary tną nielitościwie. Nazajutrz o świcie rybacy dowieźli nam różnych produktów żywnościowych, trochę owoców. Po śniadaniu jedziemy dalej. Mieliśmy tego dnia spory kawał przed sobą, który musiał być „zrobiony" jednym zamachem. Zatrzymanie się po drodze było prawie niemożliwe. Wszędzie bagna rozległe i moczary, a brzegi porośnięte wysokiem sitowiem. Były tylko 10 minutowe odpoczynki na wodzie na każdą godzinę pracy wiosłami. Mieliśmy tego dnia przebyć resztę Dunaju, oraz kanał Karola Ferdynanda aż do jego ujścia do limanu **Razelm** — około 36 km. Najbliższy postój miał być w osadzie rybackiej przy ujściu kanału do limanu. Dwa kajaki pojechały naprzód, aby zamówić u rybaków obiad. Droga była uciążliwa, ponieważ słońce paliło nas okropnie. O godz. 15 przybiliśmy do osady. Osada przedstawiała b. ciekawy widok. Położona wśród rozległych bagien i trzęsawisk, zbudowana na palach drzew. Zabudowania lepione z tłustej gliny, dachy kryte sitowiem, którego tu nie brak. Na obiad mieliśmy tego dnia zupę rybną, ugotowaną przez rybaków. W zupie spotykaliśmy duże kawałki najrozmaitszych ryb, jak: karpie, liny, szczupaki, sumy i t. p. Po obiedzie rozbiliśmy namioty. Jedni odpoczywali, drudzy zabawiali się przy gramofonie. Pod wieczór komary zaczęły coraz bardziej dokuczać, wciskały się do ust, do nosa, uszu. Gospodarze byli niezwykle gościnni i uprzejmi. Za posiłek dla całej gromady nie przyjęli ani grosza. Wieczorem po zabezpieczeniu się przed komarami poszliśmy spać lecz niestety, w nocy musieliśmy dosłownie uciekać, bo nas chciały zagryźć. Całe chmury komarów cięły nielitościwie nawet przez ubranie. W nocy o godz. 2 musieliśmy pożegnać miłych i gościnnych gospodarzy i uciekać na pełny zalew. Przed wjazdem na liman ponabieraliśmy do butelek wody niestety z kanału bo innej tu niema. wody z limanu pić nie można, ma już smak wody morskiej, słony, nieprzyjemny. Na początku limanu orjentujemy nasz bezard na Porticę i nie zbaczając ani na chwilę, szczęśliwie dotarliśmy do morza dnia 12/VII o godzinie 11 w poł. Radość była ogromna! Morze Czarne! Cel naszej wyprawy osiągnięty. Na brzegu morza rozwijamy 2 flagi o barwach polskich i rumuńskich. Po krótkim wypoczynku i kąpieli morskiej odbiliśmy z Porticy na „pełne morze". Płynęliśmy w odległości około 600 do 1000 m od brzegu. Po przebyciu około 20 km od Porticy ogromne fale zmusiły nas do lądowania na bezludnej mierzeji. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji: z jednej strony rozkołysane morze, z drugiej strony błotnisty liman Sinoe, przed nami i za nami gołe piaski.

Po 21 godzinnem bezskutecznem wyczekiwaniu na uspokojenie się morza przenieśliśmy nasze łodzie na drugą stronę mierzeji (100 m.) na zalew Sinoe. Głód i brak wody zaczynają dokuczać. Staramy się przeto jaknajprędzej dostać do najbliższego osiedla ludzkiego Carra-Harman, odległego o jakieś 40 km, po drugiej stronie limanu. Liman miejscami był bardzo płytki, tak, że musieliśmy wysiadać z kajaków i ciągnąć je, grzęznąc po pas w błocie. Przeprawa ta, była b. trudna i niebezpieczna, tembardziej, że zaskoczyła nas noc, która utrudniała orjentację w kierunku, oraz w znalezieniu lądu. Kontakt między poszczególnemi kajakami utrzymywaliśmy za pomocą latarek elektrycznych. W pewnej chwili ugrzęźliśmy w błocie i znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że ani naprzód nie można się było posuwać, ani zawrócić spowrotem. W końcu po kilkogodzinnych wielkich wysiłkach udało się nam przy zmienionym powrotnym kierunku znaleźć o godz. 1 w nocy ląd. Po wylądowaniu niektórzy koledzy tak byli już wyczerpani, że nie rozbijali namiotów — spali pod gołem niebem. Głód i brak wody dawał się coraz bardziej we znaki, to też ranutko o godz. 3 ruszamy dalej. Koło godz. 11 w poł. dobrnęliśmy do Cara-Harman, grzęznąc w błocie. Ponieważ dalsza przeprawa limanem z Cara-Harman do morza okazała się niemożliwa, więc przewieźliśmy łodzie wozami do Mamai, a sami za wozami po nieprzespanej nocy i ciężkiej przeprawie na limanie odbyliśmy 36 km marsz, podczas upałów 50°C. W Mamai próbowaliśmy kilkakrotnie odbić się od brzegów na pełne morze, gdzie zwykle fale bywają mniejsze, lecz, niestety, napróżno. Wobec tego pojechaliśmy koleją do Eforji, a kajaki specjalnemi wagonami towarowemi razem z nami. W Eforji wyszedł na nasze powitanie p. Generał Badulescu w towarzystwie p. pułk. Hergotta i zaprosił przybyłych na obiad, który przeciągnął się do wieczora. Pan generał w gorących słowach podkreślił śmiałą inicjatywę Związku Naucz. Polskiego, zaznaczył, że spływ nasz jest pierwszą tego rodzaju imprezą o charakterze ma-





Egipt — Aleksandrja







Grecja: Partenon, ruiny bramy, Akropol

sowym, w której biorą udział nietylko wykwalifikowani sportowcy, ale rzesze nauczycielstwa polskiego, a wśród nich nawet 18 pań. Fakt ten, zaznaczył dalej p. generał budzi podziw dla tężyzny fizycznej i wielkiej ambicji sportowej nauczycielstwa polskiego, a podjęty przez nas wysiłek będzie ogłoszony w oficjalnym biuletynie O. N. E. F-u, jako przykład dla nauczycielstwa rumuńskiego. Jak wynika ze słów p. generała, zamierzony przez nas cel wyprawy został całkowicie osiągnięty. Aczkolwiek nie wszyscy uczestnicy spływu odbyli całkowitą trasę, to jednak spływ nasz uważać można za **eksperyment całkowicie udany.**

Zatrzymaliśmy się na 7 dniowy wypoczynek w obozie sportowym O. N. E. F.-u. Miłym momentem dla nas było podniesienie flagi polskiej na maszt z chwilą naszego przybycia do obozu.

Po krótkim wypoczynku w obozie odbyliśmy 11-dniową podróż okrętem rumuńskim „Regele Carol" do Turcji, Grecji, Egiptu, Palestyny i Syrji. Zwiedziliśmy Konstantynopol, Pireus, Ateny i Aleksandrję. Ogrom nigdy niezapmnianych wrażeń. Przecudny błękit wód morza Czarnego, Marmara i Śródziemnego — stada delfinów, towarzyszących okrętom, przewijających się po grzbietach fal morskich — czarujący wjazd do Bosforu, jego piękno — wspaniałe, niezdobyte Dardanele. — Liczne malownicze wyspy archipelagu Greckiego — prastary Nil i jego ujście. Dodajmy do tego niesłychanie ciekawy **Stambuł** z jego meczetami, muzeami, zabytkami starej bizantyjskiej kultury, — stary cmentarz Eyouba, przejażdżka waporetkami po Bosforze. Pireus. sławny port grecki, Ateny z zabytkami starej kultury Helleńskiej, — Akropolis. — Aleksandrja, stolica faraonów, ruiny katakumb — aleje palmowe, egipcjanki z zawoalowanemi twarzami, co krok niesłychanie ciekawe rzeczy, przewijające się przed naszemi oczami jak na ekranie. Oto treść i suma zdobyczy kulturalnych i duchowych, odniesionych przez każdego z nas w czasie 11-dniowej podróży. Podróż ta, dla nas nauczycieli będzie obfitem źródłem, z którego czerpać będziemy w naszej praktyce szkolnej.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Bukareszcie, gdzie złożyliśmy kilka wizyt oficjalnych, mianowicie: w Poselstwie polskiem, w „Universul", największym dzienniku rumuńskim, w O. N. E. F-ie u p. generała Baduelscu, w czasie której p. generał udekorował sportowem odznaczeniem rumuńskiem „Amicii O. N. E. Fp" kierownika spływu p. Wyrobca Stefana z Warszawy, oraz uczestników spływu p. Biernakiewiczową Jadwigę z Krakowa i p. D-ra Saksa Stanisława z Warszawy. W czasie swego przemówienia p. generał podkreślił odniesiony przez nas sukces i wyraził nadzieję, że podjęty przez nas trud będzie dalszym krokiem w kierunku zbliżenia obu zaprzyjaźnionych narodów. Na pożegnanie wzajemna wymiana gorących okrzyków na cześć Polski i Rumunji. Drugiego dnia naszego pobytu w Bukareszcie złożyliśmy wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w obecności delegata Poselstwa polskiego p. Wolskiego, oraz asysty kompanji honorowej, delegowanej przez Ministerstwo Spraw Wojskowych. Na zakończenie naszego pobytu w stolicy Rumunji wydaliśmy w kasynie oficerskim bankiet, na który zaprosiliśmy delegata Poselstwa Polskiego i przedstawicieli O. N. E. F-u.

Przy toastach wygłaszane były przemówienia, charakteryzujące uczucia, odniesione przez nas w czasie naszego pobytu w pięknej i gościnnej Rumunji. Toastom wzajemnym i okrzykom na cześć i pomyślność obu krajów nie było końca. Wieczorem dnia 4-VIII odjechaliśmy z Bukaresztu pociągiem pośpiesznym do Śniatynia wagonem, specjalnie dla nas przeznaczonym. Przy opuszczaniu granicy Rumunji uczestnicy spływu wysłali na ręce p. generała Badulescu telegram treści następującej: „Opuszczając granice pięknej i gościnnej Rumunji, uczestnicy spływu kajakowego z Polski do morza Czarnego przesyłają na ręce p. generała powtórne podziękowanie za serdeczne przyjęcie i troskliwą opiekę, jakiej doznali w Jego Ojczyźnie".

Powracającą ekipę kajakową odprowadził do Śniatynia kpt. Dozar Bodea, delegat O. N. E. F-u. Kpt. Bodea towa-



Złożenie wieńca przez uczestników spływu na grobie Nieznanego Żołnierza w Bukareszcie

rzyszył nam przez cały czas naszego pobytu w Rumunji od chwili powitania nas na granicy rumuńskiej w Ghika Voda aż do powrotu naszego do Śniatynia. Kpt. Bodea nietylko wypełnił misję, jaką mu powierzył p. Generał Badulescu, ale był naszym duchowym przewodnikiem, towarzyszem i przyjacielem, przenikającym wszystkie potrzeby nasze, niezmordowany, zawsze z humorem nawet w najcięższych chwilach naszych zmagań. To też pozyskał serca nasze i zaszczepił w nie zarzewie bratniej miłości do zaprzyjaźnionego narodu rumuńskiego. Pożegnanie nasze było niezwykle serdeczne i wzruszające do łez.

Przyjmując za podstawę zdanie oficjalnych czynników sportowych w Rumunji, którym kilkakrotnie dał wyraz w swoich przemówieniach p. generał Badulescu, recenzję prasy rumuńskiej, jak również objektywną ocenę przebiegu całej imprezy, sumę zdobyczy kulturalnych i sportowych uważać należy, że podjęta przez Związek Nauczycielstwa Polskiego inicjatywa, swój cel całkowicie osiągnęła, że spływ był nietylko imponującą propagandą sportu wodnego, ale także imienia polskiego zagranicą.

Koniec

Opisał i fotografował Stefan Wyrobiec

Kajakiem na Polesie

Przy długiem życiu wielu się ludzi poznaje, wielu też spotyka różnorodnych.. To też bez wielkiej emocji zawarłam znajomość dnia pewnego z autentycznym Poleszukiem, z samego serca Polesia przybywającym do Krakowa. Zamieszkało to ziemnowodne stworzenie w pobliżu Błoń, gdyż tam właśnie, jak twierdziło, najbardziej bywa błotnisto. Trudno się sprzeczać na ten temat. Co kto lubi!

Poleszczucy są naogół małomówni, to też całe dwa lata minęły, zanim mój (t. j. opisywany) Poleszuk zdołał wybąkać propozycję wspólnej wycieczki wodnej na wschód, obiecując mi złote góry niesamowitych wrażeń oraz moc przeogromną wody! Paliłam się do tej wycieczki, jak do lampy. Jednakże jedno mnie trochę zrażało i werwę hamowało: kajak, którego użycie na Polesiu jest podobno niezdownem. Dlaczego nie łódź wiosłowa? Dla mnie starej wioślarki, propozycja telepania się po leniwej, przegniłej wodzie na powolnym kajaku, propozycja posuwania się i dążenia do celu przodem, wbrew przyjętym u normalnych wioślarzy obyczajom — nie! To była propozycja nieco nawet bezczelna. Ukryłam jednakże na samym dnie duszy ową obelgę i słuszne oburzenie i — wsiadłam (tyłem, dla ratowania pozorów) do wagonu, mając namiot pod lewą pachą, a rzetelnie podarty plecak „wodny" pod prawą, na wszelki wypadek asekurowany przy pomocy sznurka na szyji. Miałam niepłonną nadzieję, że na miejscu zdołam uparciucha przekonać i, że wyruszymy na wycieczkę łodzią, nie zaś bylejakiem kajakiem.

Po niezbyt długiej podróży — 800 km. w 22 godziny — skierowaliśmy pierwsze kroki na przystań Pińskiego Towarzystwa Wioślarskiego, gdzie pierwsze też mię spotkało rozczarowanie. Poza tytułem, względnie nazwą, niema P. T. W. nic a nic wspólnego z wiaślarstwem! Jest to raczej sztuczna wylęgarnia kajaków i małych żaglówek (vide fot. 1). Ponieważ jednakże na kobiecy rasowy upór nie ma rady — pierwsze me stąpania wodne po Polesiu odbyłam na łodzi wiosłowej. Łódź typu „horrendum". Usadowiłam się nieopatrznie na tak przedziwnej formy i wykroju siodełku, że o wiosłowaniu dłuższem ponad godzinę mowy być nie mogło. Musiałam ze wstydem skapitulować. Poleszucy to twardy naród! Podobno na tego typu siodełkach robią wycieczki jedno i nawet dwudniowe... No, no!?

A zatem kajaki! Jaki typ sobie pani życzy? Pluskwę czy też trumnę? Z dwojga złego oczywiście wybieram pluskwę. Znowu wpadłam. Typ kajaka-pluskwy bowiem nadaje się jedynie do zwiedzania, silnie zarośniętych wodorostami i żaborenią batług, lub też przemykania się ponad zastawionemi wśród szuwarów żakami, trehubicami i przegniłemi haciami. Do dalszych wycieczek bezwzględnie bardziej dostosowanym jest kajak-trumna, jako o wiele pakowniejszy i szybszy. Nie jest natomiast tak zwrotnym i przenikliwym, jak pluskwa.

Ruszamy tedy na trumnie ochrzczonej mianem „Pstrąga" — jedynego zapewne przedstawiciela tej wesołej rybki, który na poleskich wodach kiedykolwiek przebywał. Trasy znane i zjeżdżone odrzucamy stanowczo. To jeszcze było umówione przed wyjazdem. Klepać wodę wzdłuż koryta Piny czy Strumienia, a nawet mniej znanej ogółowi turystów Jasiołdy — to nudne i nieciekawe. Dobre to dla pożeraczy kilometrów, którzy okutani kocami, przy wydatnej pomocy motorka, odwalają tysiące kilometrów, nie



Fot. 1. Przystań Pińskiego Tow. Wiośl.



Fot. 2. Piękne nenufary.



Fot. 3. Kajak wzbudził zainteresowanie.



Fot. 4. Mamusia z pociechami.



Fot. 5. Młody poleszuk na łodzi.



Fot. 6. Bocianie gniazdo

zwracając nawet, z braku czasu, uwagi na charakter mijanych okolic. Mając, tak jak ja, pod ręką, a raczej za plecami wytrawnego Poleszuka, prawdzwego błotnego „hada", wytrawnego wyjadacza batługowego, chytre znającego chody i przełazy, zupełnie czasami zarośnięte oczeretem, czasami zaś tak wąskie, że jedynie na pychu mogliśmy się posuwać — oczywiście zwiedzam jedynie najdziksze zakątki, robię tury kręte, a przemyślne wielce i tajemnicze. To moje niezłomne postanowienie.

Przez leniwą, a raczej powolną i poważną Stupę, przez jeziorka zarośnięte całkowicie owalnemi liśćmi nenufarów, rozpoczynam wędrówkę po Polesiu ,— krainie, po której sobie tyle niespodzianek obiecywałam. Suniemy po polach biało-żółto-zielonych, po polach z lilij wodnych! (vide fot. 2). „Pstrąg," mknie i ślizga się po nich, niby wytrawny narciarz po łagodnym stoku halnym. Powoli zaczynam się przekonywać do zalet kajaka. Tutaj przecież o normalnem wiosłowaniu mowy być nie może. To teren działania wybitnie kajakowy.

Mijamy chałupy, rozrzucone bez ładu i składu po błotnistem wybrzeżu, wyrastające prawie z przybrzeżnych wodorostów. Naga i na górnośląski węgiel opalona postać mego towarzysza budzi niemy zachwyt w tubyłkach, gromadzących się tłumnie na brzegu jeziorka. (vide fot. 3). Zachwyt ogólny — bez różnicy wieku! Bodaj to mieć takie powodzenie! Na mnie to, ani jeden had nie spojrzył!

Oddalamy się w głąb tajemniczego, niezmiernego morza zieleni, nad którem, niby obłoki, przepływają stada dzikich kaczek i płaczliwie a wytrwale kwilą knigi, atakujące zbyt akresywnego jastrzębia lub błotniaka.

Oto na dzikiej plaży zażywa słonecznej kąpieli mamusia z pociechami (vide fot. 4), nieco zaś dalej stado krów — hippotamów przeprawia się przez Stupę pod bacznem okiem młodegi Poleszuka (vide fot. 5).

Ze Stupy wypływamy na Sitnicę, następnie zaś na cudów cud — jezioro Błudne!

Dlaczego Błudne? Nieraz zadawałam to pytanie memu towarzyszowi w błogiej nadziei otrzymania odpowiedzi. Niestety — nic z tego. Mogłam wyciągnąć jakie takie słówko z tego człowieka jeszcze w pociągu, na przystani nawet, lecz gdy tylko do nozdrzy jego dotarł specyficzny zapach gnijących wodorostów z lekką domieszką rybiego aromatu, gdy dosłyszał zawodzenie wiecznie rozpłakanych knig oraz plusk wiosła przy rybackiej pychówce — koniec. Zaniemówił zupełnie i mruczał tylko z radości przy każdym ubitym przezemnie komarze lub ślepcu.

Wracam do Błudnego. „Pstrąg", niby rumak szlachetny, pchnięty potężnem końcowem uderzeniem pióra, wyskoczył na obszerną połać wodną, zewsząd oczeretem obrośniętą, przetykaną gdzieniegdzie kępkami łoziny. Wiał lekki wiatr i jezioro subtelnie falowało, kiwając swą czarną, a jednocześne, niby brylant, przejrzystą wodą, odchylając na boki poszczególne falki, by się lepiej przyjrzeć zdumiewającemu zjawisku białego kajaka miast zwykłej czarnej pychówki lub dolbanki. Falowało stare jezioro, kiwało swą mokrą głową i dziwiło się niepomiernie. Poczciwe stare Błudne! W następnej chwili porządło swą sędziwą głową nieco mocniej i oto po czarnej fali rozsypały się, niby włosy srebrzyste i złote, niby nitki złotogłowiu wplecione w pasmo czarnego jedwabiu — rozsypały się siwe włosy Błudnego, wodorosty strzeliste. Pojęłam wtedy, dlaczego nazwano Błudnem to jezioro. Bo człowiek normalny obłędu dostaje z zachwytu, bo kto już po niem przepłynął — ten przynajmniej raz do roku musi je odwiedzić i powitać. Bo mu sen bez tego od powiek odbieży i z tęsknoty na wiór się ususzy. Błudne rzuca urok, Błudne czaruje i do iście rozkosznego doprowadza obłędu! Wiedział mój Cicerone co czyni, pierwsze moje kroki poleskie właśnie tędy kierując. I oto ja, stara „odtylcowa" wioślarka, w tej chwili przebaczyłam kajakowi jego wścibstwo, brak rasy, jega gapiowatość i prawie pokochałam to korytko z dykty, dzięki któremu mogłam się w parę zaledwe godzin przenieść do krainy cudów i baśni.

Oczywiście, że daleko nie mogliśmy odpływać dnia tego, szukając noclegu, i ulokowaliśmy nasze penaty na pobliskiem ostrowiu, kępie drzew rzuconej wśród bezkresnego błota. Pomógł nam przy rozbijaniu obozu młodociany rybak, od którego kupiliśmy trzy spore liny za całe 30 groszy! Na widok tylu pieniędzy odrazu poczciwy Poleszuk wpadł w szał radosny, dowodem czego służyć może fakt nader rzadki, że okazał chęć do pracy fizycznej i sam się z pomocą przy przenoszeniu „Pstrąga" ofiarował. Smakowały nam te liny ogromnie, jak niemniej herbata z wody przesyconej skorupiakami wszelakiemi i innem tego rodzaju paskudstwem. Siana dostarczył nam w obfitości pobliski stóg — i nic nie pozostawało już innego do roboty, prócz spania.

Niesamowitość jednak Błudnego nie dała nam i w nocy spokoju. Około godziny 2-giej obudził mnie mój towarzysz, twierdząc, że warto poczuwać czas jakiś, aby wchłonąć w siebie nieco czaru poleskiej nocy. I rzeczywiście znowu doznałam dziwnego wrażenia. Cisza przeogromna, bezkresna, bezmiar spokoju i beztroski. Księżyc w pełni lśnił poważnie i przypatrywał się nam z ciekawością i dobrotli-

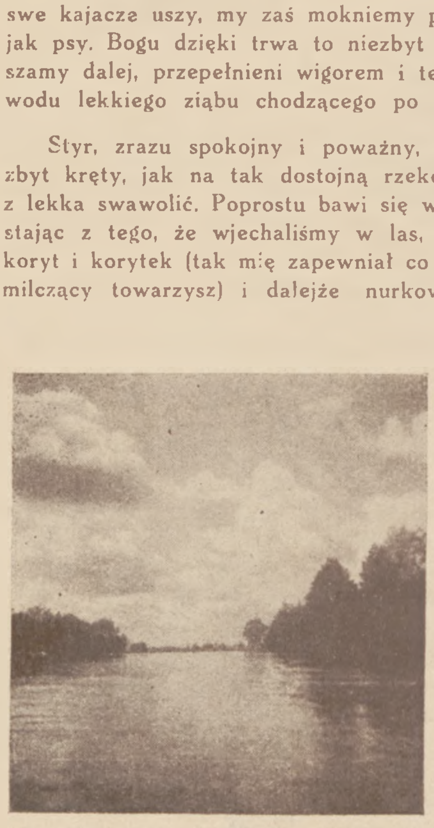
wością poczciwego pana, który swe życie już przeżył. Kochany kneź! Rozumny i głęboko myślący starszy brat pyszałkowatego słońca. Patrzał na nas, na nasz namiot i postanowił z nas zakpić. Mrugnął figlarnie w stronę wyniosłej starej brzozy z obłamanym przez burzę wierzchołkiem i oto zaczęły się stamtąd dobywać głosy syczące, piskliwe i dreszczem jednocześnie przejmujące, — coś niby stado całe żmij, dające koncert makabryczny na szczycie brzozy-kaleki. Co to? Śmiał się z mego zdumienia stary kneź, śmiał się też mój towarzysz-tubylec. Okazało się, że to młode bocianięta, ulokowane wygodnie w gnieździe na szczycie tej właśnie brzozy nuciły sobie serenadę, sonatę księżycową, co podobno mają w zwyczaju za lat swych młodych wyczyniać. Poprostu taki sobie poleski chór Dana (vide fot. 6). Odrazu też dojrzałem nad głową gniazdo bocienie ,którego przedtem poprostu nie zauważyłam. Z gniazda wytykało łby, o czarnych jeszcze dziobach, parę bocianiąt i popatrywały spokojnie to na nas, to na knezia, który pożegnał nas już i otuliwszy się obłokiem, niby kocem, udał się w podróż po innych województwach. W myśl zasady, że dobrego potroszeczku, Błudne na tem poprzestało i do rana mieliśmy spokój, oraz sen błogi a twardy.

O świcie w dalszą drogę. Przez Chorowachę i Prostyrnię mamy zamiar dotrzeć do uroczyska Pławy, położonego pomiędzy rzekami Wyry i Zaliską. Kawał drogi — około 80 km. przeważnie bez prądu i po wodach zarośniętych i ciężkich pod piórem. Machamy, jak młode lwy! Czuję się już na kajaku doskonale. Lekki ból ramienia, gnębiący mnie po pierwszych próbach kajaczenia, minął bezpowrotnie i, zaiste, smok tak nie ciągnie, jakom ja ciągnęła przez prześliczną Chorowachę, (vide fot. 7), przez Pare i Stare Konie. Wpadamy całym impetem na Styr. Tymczasem zaś deszcz, nie deszcz a ulewa wpada z niemniejszym impetem na nasze barki i plecaki. Plecy — detal, plecaki muszą być suche. Wyciągamy okrutną, pamiętającą czasy Królowej Bony celtę (brezent) i oto „Pstrąg", grzecznie przycumowany, stoi przy brzegu okryty szczelnie rzeczoną celtą po swe kajacze uszy, my zaś mokniemy pod krzakiem łoziny, jak psy. Bogu dzięki trwa to niezbyt długo i wkrótce ruszamy dalej, przepełnieni wigorem i temperamentem z powodu lekkiego ziąbu chodzącego po krzyżach.

Styr, zrazu spokojny i poważny, chociaż może nieco zbyt kręty, jak na tak dostojną rzekę przystało, zaczyna z lekka swawolić. Poprostu bawi się w chowanego. Korzystając z tego, że wjechaliśmy w las, rozdziela się na 58 koryt i korytek (tak mię zapewniał co do ilości odnóg mój milczący towarzysz) i dalejże nurkować pod drzewami, krzakami i kępami wikliny! Nic z tego, stary figlarzu! Bujać — to my, a'e nie nas! Bierzemy się do mapy — i Styr się poddał. Bryka sobie nadal, ale nam dał spokój i suniemy już pewnie i spokojnie po głównym nurcie, otwierając oczy i usta z zachwytu nad dzikiem pięknem Ładoroża (vide fot. 8). Tak bowiem dźwięcznie nazwano ten szmat kilku tysięcy hektarów lasu, przez który właśnie się przedzieramy. Czarne, grube i pokręcone pnie olch stuletnich, wyrastające z głębowiska korzeni tworzącego wzgórek nad taflą, czarnej również jak atrament, wody — coś nakształt puszczy mangrowej z opowieści Jack London'a. Gdzieniegdzie tylko głęboką czarno-brunatną zieleń przecina jasna plama pęku paproci lub promień słońca, który wdarł się niezauważony do tej świątyni cienia i... komarów. Bo tych komarów to tam nie brakło! No! niema rady — trzeba uciekać i to co sił w pogryzionych łapach. Mkniemy lotem ptaka zaiste. Mijamy wieś Ładoroże, na wyspach leśnych rozbudowaną, wieś, w której jedynie wodna istnieje komunikacja z okolicą i nielicznemi pólkami wśród lasów. Folgujemy dopiero po zmęczeniu tempem ostatniego komara, na otwartej już przestrzeni w pobliżu wsi o swojskiej i wojnę przypominającej nazwie — Weszna. Tak przynajmniej utrzymywał mój kompan. Humory, zapewne spowodu udanej ucieczki przed komarami, cudne. Mój autochton, o zgrozo, zabiera się do śpiewania na całe swe przepite gardło pieśni przedziwnej, skąpej w słowa, jak niemniej w melodję. Własna to zapewne jego kompozycja i treść także przezeń wymyślona. W pieśni tej ponad wszystko przebija chwała rozhukanych fal dostojnej Kupy, na którą właśnie „Pstrąg" kieruje swe kształtne ciało. Przedziwna to rzeka ta Kupa. Na przestrzeni około 6 — 7 kilometrów zmieniła nam, szelma, cztery razy kierunek prądu! Zjawisko bardzo ciekawe i niewytłumaczone. Jedna z wielu zagadek Polesia, zagadek, stwarzających jego przemożny urok i czar nieodparty. Wprawdzie są tacy, którzy prą gwałtem do osuszenia Polesia, ale miejmy nadzieje my, kajakowcy i kaczkarze, my, ludzie przyrody i miłośnicy naturalnego, nieskalanego czerwonym dachem piękna dzikiego krajobrazu — że to zło nie tak prędko jeszcze nastąpi!

Co widzę? Napisałem „my kajakowcy"?! A zatem kości rzucone, słowo się rzekło i cofać już nie wypada. Należę zatem do rodziny kajakowców i nie będą się do nich, jak dotychczas z pogardą przodem odwracała. To było, to przeszło, o tem się już nie mówi!

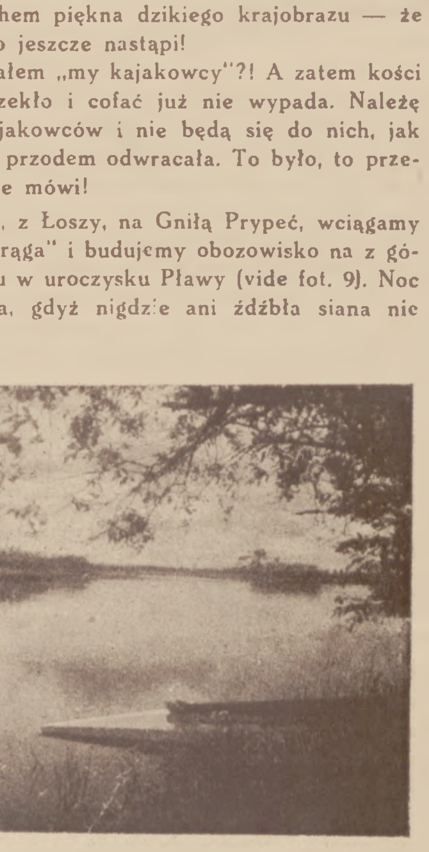
Z Kupy na Łoszę, z Łoszy, na Gniłą Prypeć, wciągamy wrzecionowatego „Pstrąga" i budujemy obozowisko na z góry upatrzonem miejscu w uroczysku Pławy (vide fot. 9). Noc spokojna, lecz twarda, gdyż nigdzie ani źdźbła siana nie



Fot. 7. Chorowacha.



Fot. 8. Łodoroże.



Fot. 9. Uroczysko Pławy.

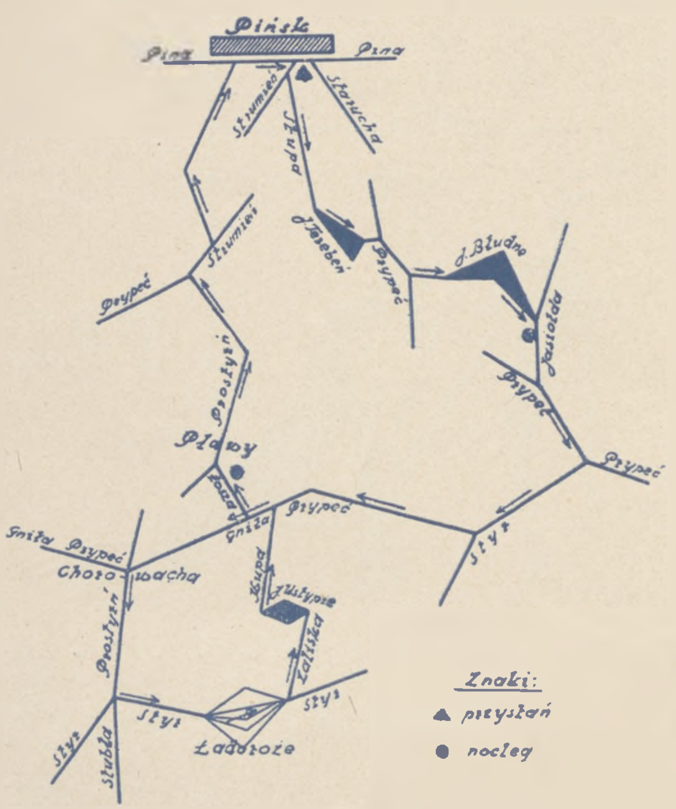
mogliśmy znaleźć, a poduszki w kajaku przybrały postać gąbek i przy lada pociśnięciu aż piszczały z radości, że nam takiego wypłatały figla... Szelmy! Przebrzydłe pijaczyny! O zachodzie słońca wsłuchujemy się w daleki gwar, dochodzący tu ze szlaku wodnego Pińsk-Wiczówka. Głos po wodzie wieczorem idzie daleko i mam to wrażenie, że lada chwila z za krzaka wyhynie dziób dołbanki, za nim cała łódź i stojący na rufie chłop w baraniej czapie. Lecz to tylko złudzenie, gdyż daleko ztąd do szlaku i nikt nam spokoju nie zakłóci i bezludzia nie pokala.

Trzeciego dnia — powrót. Powrót w słońcu iście afrykańskiem, powrót w chwale i dumie z dokonanego odkrycia Kupy i Zaliski, Wyr i jeziora Ustypie, a zwłaszcza z oglądania cudów Błudnego. Wracamy cichą, skromną rzeczką Riu, przemykającą się nieśmiało przez zwarte ściany oczeretów (vide fot. 10).

Takich wycieczek parodniowych uskuteczniliśmy cały szereg, ani razu nie powtarzając trasy po wodach raz już poznanych. Szukaliśmy stale czegoś nowego, odmiennych wrażeń i niespodzianek. No i muszę przyznać, żem się ani razu nie zawiodła na Polesiu, ani też na opisach mego to-



Fot. 10. Rzeka Riu



warzysza, który mię opowiadaniami jeszcze rok temu zachęcał do zwiedzenia Pińszczyzny. Rozkoszne i prześliczne jest Polesie! Pod warunkiem jednakże, że się na nie spojrzy z dobrze obranego punku, że się doń zbliży ze zrozumieniem i uczuciem, nie tylko jako pospolite gapie lub globtrottery bezmyślne. Byłam tam raz jeden, ale powtarzać już będę swe wycieczki co roku, aż dojdę do maestrji tamtejszych autochtonów w wyszukwaniu dróg i przesmyków zapomnianych.

Cudne przecudne jest Polesie! I dobrze się tam spędza urlop właśnie na KAJAKU, nie na łodzi. Ot co!

I. P.

Turystyka — łącznikiem wioślarzy polskich i niemieckich

Na pograniczu polsko-niemieckiem miały miejsca, pod koniec ubiegłego sezonu, wzajemne odwiedziny wioślarzy niemieckich i polskich. Były one niejako echem gremjalnego udziału naszych wioślarzy w międzynarodowym spływie okolicami Berlina. Goście ze Skwierzyny, Landsbergu i Międzyrzecza dwukrotnie odwiedzali nasz Międzychód, podejmowani przez miejscowe Mędzychodzkie Towarzystwo Woślarskie. Pierwszy ich przyjazd w dniach 28 i 29 lipca był właściwie nieoficjalną wycieczką. Natomiast drugi przyjazd w dniach 25 i 26 sierpnia miał już charakter wybitnie oficjalny. Pograniczni wioślarze niemieccy przybyli na zaproszenie Międzychodzkiego Towarzystwa Wioślarskiego, które w tym czasie zorganizowało spływ wioślarski. Po zakwaterowaniu i kolacji, urządzono taneczną wieczornicę, w której niestety nie mogły wziąć udziału załogi poznańskie, gdyż do Międzychodu przybyły dopiero nazajutrz zrana. Podczas herbatki niedzielnej nastąpiło oficjalne powitanie gości przez druha W. Wrzesińskiego, sekretarz M. T. W. Poczem zabrał głos p. mjr. Fleszar, przewodniczący P. K. T. W., który witając gości, wskazał na obopólne korzyści, jakie mogą wyniknąć z tak mile nawiązanej współpracy sportowej. W imieniu gości przemawiał inspektor szkolny p. Mülot, który w serdecznych słowach dziękował za szczerą gościnę, nadmieniając m. inn., że wreszcie nadszedł czas, kiedy, dzięki osiągniętemu porozumieniu obu państw, możemy i na polu sportowem osiągnąć całkowite porozumienie. Po zwiedzeniu miasta i wspólnym obiedzie goście niemieccy odpłynęli z biegiem Warty, żegnani przez miejscowych wioślarzy z mjr. Fleszarem i prezesem Remiszewskm na czele.

Należy dodać, że wioślarze międzychodzcy w składzie trzech załóg, (przeważnie członków Zarządu M. T. W.) byli gośćmi Skwierzyńskiego Ruderklubu w dniach 7 i 8 lipca r. b.

Międzychodzke Towarzystwo Wioślarskie w latach ubiegłych urządzało już podobne spływy, lecz tylko z udziałem poznańskich załóg wioślarskich. Udział wioślarzy niemieckich w spływie tegorocznym miał miejsce po raz pierwszy, a podyktowany był chęcią zapoznania gości z naszem wioślarstwem.

Międz. T-wu Wiośl. należy się uznanie za inicjatywę w nawiązaniu przyjaznego kontaktu w dziedzinie wioślarskiej z naszym zachodnim sąsiadem.

W. G.

Ceny ogłoszeń: 1 strona zł. 300, $1/2$ strony zł. 155, $1/4$ str. 80, $1/8$ strony zł. 45, w tekście o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, BRONISŁAWA PIERACKIEGO 15 — TEL. 670-56.
Prenumerata „Sportu Wodnego" wynosi półrocznie Zł. 10, rocznie Zł. 20.
Rękopisów nie zwraca się. Ogłoszenia i prenumerata zagraniczna 50% drożej. Konto w P. K. O. Nr. 6013.
Wydawca „WAW" Warszawska Agencja Wydawnicza S-ka z o. odp. *Redaktor MIECZYSŁAW MAJCHER.*

Drukarnia W. Merkel, A. Kowalewski i S-ka, Warszawa, Chłodna 37 tel. 669-46.